CENA 50 MLS.

NA STRAŻY

STYCZEŃ 1947
JEROZOLIMA

BIULETYN WEWNĘTRZNY
ZWIĄZKU PRACY DLA PAŃSTWA
Na prawach rękopisu!

31

Adres: Jerusalem,
"Casa Nova" nr 80

EUROPA

Nie pierwsza, ale dopiero druga wojna światowa daje w rezultacie w światowej skali rozstrzygnięcia. Tamta ustaliła polityczny ustrój Europy niosąc wolność szeregowi ujarzmionych uprzednio narodów. Wpływ jej na resztę świata był stosunkowo niewielki. Ta w konsekwencjach swoich przekształca do gruntu całość stosunków politycznych naszego globu. Ogarnęła wszystkie kraje Środkowego Wschodu, wybrzeża afrykańskie, Chiny, Indie, Burmę, Indo-Chiny, Indonezję, a przede wszystkim wysunęła Rosję do roli nigdy jeszcze w dziejach przez to państwo nie odgrywanej. Kongres wiedeński, w którym wpływ Aleksandra Pierwszego był tak wybitny, nie da się porównać z obecnym stanem rzeczy, gdy głos Stalina rozbrzmiewa na całej kuli ziemskiej, a w jego ręku znajdują się potężne środki, za pomocą których ośrodki dyspozycyjne jego woli mogą każdej chwili działać po jego myśli i wypełniać jego rozkazy w każdej stolicy niemal każdego państwa.

Trzy wielkie racje stanu i jednocześnie trzy kultury stają do olbrzymiej gry, będącej bezpośrednim skutkiem i zarazem dalszym ciągiem drugiej wojny światowej.

Pierwszą z nich stanowi Zachód, a pod tym słowem rozumiemy państwa i narody Europy, położone na zachód od przedwojennych granic Sowietów, oraz Wielką Brytanię, Amerykę z Kanadą, Australię i Południową Afrykę.

Druga — to Rosja Sowiecka, świat odrębny, w sobie zamknięty, ideologicznie, społecznie i gospodarczo odseparowany i odseparowujący się od Zachodu.

Trzecią stanowi Azja i Indonezja. Wyrosłe na obcych Europie kulturach i tradycjach, liczące więcej mieszkańców niż obie poprzednie razem, do czasów niemal ostatnich pozbawione były dynamizmu dziejowego, a dziś szybko dojrzewają do samodzielności politycznej.

Racją stanu Zachodu jest obrona standartu kultury duchowej i materialnej, ustabilizowanej w obyczaju, w ustroju politycznym i w znacznej ciągłości spokojnych naogół zmian społeczno-gospodarczych w drodze ewolucyjnej. Wszystkie te elementy decydują o jej wybitnie defensywnym charakterze.

Racja stanu Sowietów polega na programie totalnej rewolucji międzynarodowej, podporządkowującej świat cały jednej ideologii, jednemu ustrojowi społecznemu i jednej centralnej woli. Program ten jest wynikiem przesłanek doktrynalnych, stwierdzanych publicznie i wielokrotnie przez największe autorytety partyjne i państwowe a realizowanych z nieubłaganą, żelazną konsekwencją, której tylko ślepy może nie widzieć. Z natury rzeczy charakter tej polityki jest zdecydowanie ofensywny.

Racją stanu świata azjatyckiego jest uwolnienie się spod kurateli Europy, skończenie z wyzyskiem ekonomicznym ze strony Zachodu oraz realizowanie własnych celów narodowych w ramach — niezależnych od czynników obcych — organizmów państwowych.

Te to trzy czynniki wystąpiły na arenę dziejów i stworzyły zupełnie nowy w stosunku do niedawnej przeszłości stan rzeczy.

Gdyby dziś spytać tych mężów stanu Zachodu, którzy stanęli na jesieni 1939 r. wobec problematu wojny, jakie były ich przewidywania i plany, i skonfrontować je z aktualną rzeczywistością, to odpowiedź musiałaby wypaść żałośnie. Bieg wydarzeń potoczył się nie tylko wbrew ich zamierzeniom, ale wbrew najbardziej oczywistym interesom państw przez nich reprezentowanych.

Jedni pogrążyli swoje narody w otchłań nieszczęścia, inni osłabili je bardzo znacznie i doprowadzili do głębokiego kryzysu w ich imperialnych posiadłościach. Imperium francuskie znajduje się na równi pochyłej, angielskie chwieje się w swych podstawach—i dobrze będzie, jeśli ostanie się jako dość luźny związek istotnie niezależnych państw. W międzyczasie oba te pierwszorzędne mocarstwa zostały zepchnięte do roli drugorzędnej w stosunku do Stanów Zjednoczonych i Rosji, a samodzielność ich decyzyj politycznych została w znacznym stopniu zredukowana.

Niejednokrotnie podkreślano, że wojna obecna w całym szeregu dziedzin życia przyniosła zmiany nieodwracalne. Jest to niewątpliwie słusz-

ne. W szczególności dotyczy to narodów Wschodu, których wyemancypowanie się polityczne i gospodarcze na pewno nie leżało w zamiarach państw Zachodu.

W rezultacie otrzymujemy bardzo charakterystyczny i nieoczekiwany obraz. Ludy wschodnie, tak dalekie dotychczas od wszystkiego, co jest zachodnio-europejskim pojęciem wolności, demokracji i sprawiedliwości, zostały przebudzone z wiekowego snu zastoju i bierności i w oczach naszych w zdumiewająco szybkim czasie zyskują możność samostanowienia o swych losach z wszystkimi konsekwencjami tego olbrzymiego w dziejach ludzkości przewrotu. Bo przewrotem będzie z wszelką pewnością włączenie przeszło miliarda ludzi, pozbawionych dotychczas głosu, w skomplikowany mechanizm polityki międzynarodowej.

Zorza wolności zaświtała tym, co jej dotychczas nie mieli.

A jednocześnie — jakby na urągowisko historii — wali się w gruzy kolebka ludzkiej wolności — Europa.

Zniszczona materialnie, opanowywana pośrednio i bezpośrednio przez agentury rzekomo rozwiązanego Kominternu, które zdołały już ujarzmić więcej niż połowę ludności i zagarnęły więcej niż połowę jej przestrzeni, Europa, ta Europa, w imię wolności której wojna się rozpoczęła, została poddana praktykom, mającym na celu zniszczenie wszystkiego, co stanowiło dotychczas podstawy zachodnio-chrześcijańskiego świata. Jest terenem głodu i nędzy, demoralizacji i wyzysku, rozprzężenia duchowego, narzucania jej zgoła barbarzyńskich norm życia. Godność człowieka została przekreślona, ludzka jednostka wciśnięta w tryby bezlitosnej doktryny, życie ludzkie ma się za nic. Dorobek tysięcy lat kultury humanistycznej, sięgającej korzeniami czasów Grecji i Rzymu a ukształtowanej przez chrześcijaństwo i humanizm, oddany został na żer siłom wrogim, antyhumanitarnym i antychrześcijańskim.

Wojna przyniosła klęskę Niemcom, którzy zdradzili kulturę Zachodu i wyrzekli się Europy. I ta sama wojna otworzyła szeroko bramy Europy przed Rosją, która Europą nigdy nie była i przeciwstawiała się jej od początku Księstwa Moskiewskiego.

W ten sposób jeden wróg świata zachodniego został unieszkodliwiony po to, aby zza sowieckiego kordonu wysunął się drugi, dziś równie potężny, a jutro — wobec swej ekspansji rozrodczej i możliwości gospodarczych — nieporównanie od pierwszego groźniejszy.

Gdy więc z jednej strony obudzony Wschód wyzwala się i organizuje, niosąc w swym łonie zapewne ciekawe i twórcze, ale obce Europie wartości kulturalne, z drugiej — totalizm sowiecki jak groźny polip rozpostarł swe ramiona nad rozdartą, zniewoloną i umęczoną Europą.

Powstaje pytanie, jakie są w tych warunkach widoki dla świata Zachodu. I czy w ogóle świat ten — gdyby Europa została przez Rosję opanowana — będzie się mógł ostać jako samodzielna siła polityczna i kulturotwórcza?

Pytanie najbardziej zasadnicze. Czy proces dziejowy, którego świadkami jesteśmy, oznacza koniec dotychczas przodującej światu cywilizacji i pogrążenie go w odmęty długotrwałego chaosu z towarzyszącą mu zatratą wszelkich ustalonych wartości — czy też istnieje możliwość ciągłości narastania dóbr kulturalnych w oparciu o układ wartości, reprezentowanych przez wiekową pracę Europy?

Odpowiedź nie wynika bynajmniej z chwilowo istniejącej sytuacji politycznej, będącej skutkiem pożałowania godnej małoduszności i indolencji kierowników mocarstw zachodnich. Jest prawdą, że Rosja uzyskała tak znaczne możliwości, jakich w swej historii nigdy dotychczas nie miała. Ale jest również prawdą, że w zmaganiach się interesów, w walkach ideologicznych i światopoglądowych — decydującą rolę gra czynnik ludzkiej woli. Zwycięstwo jednej strony jest możliwe tylko tam, gdzie złamana została wola strony drugiej.

Pytanie nasze winno być zatem inaczej sformułowane. Czy postawa demokracyj zachodnich wykazuje zanik elementarnej woli życia i twórczości, stanowiącej o siłach każdej zbiorowości? Czy rozkład instynktu życia poszedł tak daleko, że gotowe są skapitulować przed siłami przeciwnika i zrezygnować z dotychczasowych form i treści na rzecz form i treści narzuconych, sprzecznych z wiekowymi osiągnięciami Europy?

Od odpowiedzi na te pytania zależeć będzie los świata.

Jedna wszakże rzecz wydaje się pewną. W wypadku, gdyby Europa miała się dostać w trwałe władanie czerwonego totalizmu — reszta świata Zachodu w walce o swe prawo do życia się nie ostoi. Sama Ameryka z drobnymi stosunkowo przyległościami fizycznie nie wytrzyma walki. Otaczające ją oceany przy dzisiejszych technicznych możliwościach nie stanowią wystarczającej przeszkody, a przytłaczająca przewaga ludnościowa wraz z całym potencjałem przemysłowym Eurazji wystarczy do pokonania Nowego Świata.

Więcej. Gdyby Ameryka została odizolowana, budzący się do życia a dotychczas tak jeszcze gospodarczo słaby Wschód stałby się już bardzo łatwą zdobyczą imperializmu sowieckiego, co unicestwiłoby raz na zawsze możliwości jego samodzielnego rozwoju.

Procesy, zachodzące w anglosaskiej opinii publicznej, nie są łatwe do sprecyzowania, tak jak w ogóle psychologia mas nie łatwo poddaje się badaniu. W ustrojach demokratycznych stały i niezależny od nacisków zewnętrznych ośrodek decyzyj politycznych z trudnością docho-

dzi do głosu, a myśl przewidująca na dalszą metę łatwo odchodzi na plan drugi wobec kłopotów polityki wewnętrznej, zagadnień gospodarczych i społecznych. Przeciętnego Amerykanina lub Anglika sprawa cen produktów spożywczych, zagadnienia mieszkaniowego, zatrudnienia i płacy roboczej, ilości godzin pracy tygodniowej pochłania znacznie silniej, niż wielkie zagadnienia międzynarodowe, mało dla szerszej publiczności dostępne.

Mimo to wszystko jednak zdaje się rzeczą pewną, że poczucie narastającego od zewnątrz niebezpieczeństwa da się w środowisku anglosaskim wyraźnie skonstatować. W ciągu ostatniego roku zaszły charakterystyczne zmiany zarówno w angielskiej, jak i amerykańskiej opinii publicznej. Popularność Sowietów, tak znaczna w ostatnich miesiącach wojny, zmalała bardzo. Coraz więcej ukazuje się poważnych publikacyj bez ogródek przedstawiających stosunki w Rosji we właściwym świetle. Pisma codzienne, rozchodzące się w milionowych nakładach, stale poruszają zagadnienia wojny i pokoju i nie brak wśród nich głosów bardzo pesymistycznych. Człowiek ulicy zaczyna coraz wyraźniej rozumieć, że żadna z naprawdę ważnych spraw, związanych z normalizacją stanu pokojowego, dotychczas załatwiona nie została oraz że sprawcą tego stanu rzeczy jest wyłącznie polityka sowiecka.

Z drugiej strony, chociaż, jak zresztą zawsze i wszędzie, obywatele amerykańscy i brytyjscy mogą mieć wiele powodów do wewnętrznych niezadowoleń, czego wyrazem są liczne strajki, przecież olbrzymia większość głęboko przywiązana jest do historycznego dorobku własnej kultury, wielką przykłada wagę do obyczaju życia, ustalonego od wieków, a przede wszystkim niezwykle sobie ceni wolność, stanowiącą podstawę jej ustrojów państwowych.

I gdyby ten obyczaj, a przede wszystkim gwarancje wolnościowe zostały wyraźnie i niedwuznacznie zagrożone, sądzić słusznie można, że wola zachowania własnego kulturalnego oblicza znalazłaby dostatecznie silny wyraz.

A o to właśnie chodzi. Jest bowiem rzeczą pewną, że od chwili zakończenia działań wojennych konflikt zasadniczy między dwoma światami, anglosaskim i sowieckim, wyraźnie narasta. Stroną małoduszną i nieudolną w tym konflikcie jest niewątpliwie strona anglosaska. Gdy jednak na porządek dzienny zaczynają wchodzić takie sprawy, jak bomba atomowa, rozbrojenie i zagadnienie Niemiec, konflikt musi przybrać na sile, przegranie bowiem tych właśnie spraw nazbyt by zagrażało Zachodowi. To nie jest gra o obce interesy, jak to było z Teheranem, Jałtą i pięcioma traktatami pokojowymi, w której tak łatwo było poświęcić cudzą wolność za złudny cień porozumienia. To już są sprawy życia i śmierci dla demokracyj zachodnich.

Trudno przypuścić, aby w obliczu takiego niebezpieczeństwa zarówno rządy, jak i opinia publiczna skapitulowały przed naciskiem Wschodu. A jeśli wola oporu się obudzi, to siłą rzeczy, nieuniknioną koleją wydarzeń wyłoni się wstydliwie ukrywane dotychczas zagadnienie wolności Europy. I okaże się wówczas, że jest to zagadnienie najważniejsze, bo ono i tylko ono przesądzi o całości statutu politycznego świata. A wówczas zrozumie każdy Anglik i każdy Amerykanin, że bez wolnej Europy nie będzie ani wolnej

Michał Sokolnicki

KRĘTE ŚCIEŻKI SOJUSZU

(MISJA NOËLA W POLSCE*)

Poniżej zamieszczony artykuł ambasadora Sokolnickiego jest pierwszą częścią jego recenzji o książce Noëla. Druga część została wydrukowana w „Wiadomościach" (nr 32 z 10/XI 1946) pt. „Historia wzajemnych zobowiązań".

I Kwestia wzajemności

Ambasador Léon Noël, przedstawiciel Republiki Francuskiej przy rządzie polskim w krytycznych latach przed wojną i w dniach wojny wrześniowej, zastrzega się zaraz na początku swej książki, że nie opowie sekretów: mówi zgryźliwe przy tej sposobności o **niecierpliwych**, ogłaszających swe wspomnienia nazajutrz po wypadkach, w których brali udział. „Ta gadatliwość zbyt pospieszna wzbroniona jest dyplomatom bardziej niż komukolwiek" — dodaje sentencjonalnie.

Na szczęście autor zapomniał o swych surowych zasadach w trakcie pisania.**) I wprawdzie mało bardzo dorzucił do tego, co już jest wiadomo o „agresji niemieckiej", dyplomatycznej i wojennej, przeciw Polsce, ale za to, świadek bezpośredni, dał pierwszorzędny materiał do historii sojuszu francusko-polskiego. Książka, jak to czasem autorom się zdarza, rozminęła się ze swym tytułem: nie agresja bowiem niemiecka przeciw Polsce, lecz kręte ścieżki polityki francuskiej w stosunku do Polski są jej głównym i podstawowym przedmiotem.

Celem pełnego oświetlenia tego problematu autor sięga w przeszłość i tam na niepewnych i rozchodzących się wielekroć drogach polityki francuskiej i polskiej w ciągu ubiegłych wieków znajduje te same trudności i wahania, z jakimi przyszło mu się borykać współcześnie. Ta retrospekcja historyczna Noëla jest daleka od zupełności i prześlizguje się bez zatrzymania nad wstydliwym epizodem Henryka III Walezego i — nad całym prawie XIX wiekiem; to jednak, co autor podaje o „barierze Wschodu" w wieku XVIII, jest ważne i znamienne.

Oto w imieniu króla Francji, Ludwika XV, dwaj jego przedstawiciele są rzecznikami polity-

*) Léon Noël, *L'agression alllemande contre la Pologne*. Une Ambassade à Varsovie, 1935-1939. Flammarion éditeur, Paris. Str. 509.

**) Wartość książki Noëla zmniejsza jeszcze fakt, zanotowany w przypisie przedmowy, że pisana była ona w okresie okupacji niemieckiej we Francji, za wyjątkiem niektórych uwag „zredagowanych po wyzwoleniu, w celu uwzględnienia ostatnich publikacyj".

ki Francji: jeden, Douglas, działa w Petersburgu i świadczy, iż „alians rosyjski" przeznaczony jest, aby „zastąpić wszystkie dawniejsze tradycje polityki francuskiej i że w szczególności poświecone mu być muszą, bez zastrzeżeń (sans ménagement), Polska i Turcja"; a jednocześnie drugi, hr. de Broglie, znajduje się w Warszawie i przypomina instrukcje arcysekretne, polecające mu staranie o to, aby „pogodzić względy... dla Rosji z uczuciami zawsze żywionymi dla Polski", a stwierdzające jednacześnie: „że w wypadku, jeśli nie będzie można pogodzić tych dwóch rzeczy, istotnie tak trudnych do pogodzenia, JKMość życzy sobie, aby interesy Polaków miały pierwszeństwo..."

Gdy ambasador Francji przechodzi od historii do czasów przeżytych, gdy staje przed nim, jako naczelne zadanie, realizowanie współczesnej polityki francuskiej, sojusz z Polską okazuje się od razu nie szlakiem jasnym i drogą prostą, lecz jakby krętą koleiną, pełną wybojów i wykrotów, po której podróż jest nieustannym chwianiem się i zgrzytem. I, należy to powiedzieć od razu bez wahania, odpowiedzialność za ten niezadowalający stan dróg polsko-francuskich rozkłada się na obie strony. Czytelnik polski książki Noëla znajdzie w niej okazję do wielu krytycznych przemyśleń o postępowaniu swego Rządu, a więcej jeszcze o jego słowach. Ambasador jest dość dziwnie witany w Polsce, gdzie zaraz zaufani przynoszą mu wyrazy zadziwienia Prezydenta Rzplitej, iż „nowy ambasador Francji nie uważa wszystkich (sic) ludzi reżimu za wrogów swego kraju". W niedługi czas potem p. Noël notuje ze zdumieniem, że w przemówieniu publicznym Janusz Radziwiłł odważył się wygłosić pochwałę Francji i zakończyć okrzykiem „vive la France!" Dalej ambasador wzmiankuje tych Polaków, co się „nie bali" chodzić do Ambasady Francuskiej, wspomina o urzędnikach Ministerstwa Spraw Zagranicznych od niej stroniących lub jawnie nieprzyjaznych. W dniach kryzysu monachijskiego ostrzeżono oficjalnie Ambasadę Francuską przed rzekomo grożącymi demonstracjami tłumów przeciw Francji i p. Noël czuje się nieomal bohaterem, gdy otwiera naoścież przed nieistniejącymi manifestantami bramy ambasady. Gdyby połowa tego wszystkiego była prawdą, już byłoby źle. Ale są rzeczy ważniejsze. Gdy ambasador wyjeżdża z Paryża do Warszawy w maju 1935, „jeden z wysokich urzędników Quai d'Orsay" uprzedza go, że Polska podpisała tajny układ z Rzeszą Niemiecką i Węgrami w sprawie rozbioru Czechosłowacji; jakiś dzienniczek prowincjonalny, a zaraz potem „Echo de Paris" Pertinaxa ogłosiły nawet wówczas „tekst" tego rzekomego traktatu. Ta złośliwa plotka odżyła w dniach Monachium i do dziś tłucze się jeszcze po brudnych zakamarkach w propagandzie różnych międzynarodówek. Należy przyznać p. Noëlowi, iż potwarzom tym zaprzecza i podaje wystarczające przeciw nim argumenty: samo jednak wysunięcie ich przez wpływowe czynniki w Paryżu jest znamienne. Gorzej jest jeszcze, gdy dochodzi do samej codziennej praktyki aliansu. Ambasador twierdzi, że o porozumieniu niemiecko- polskim 1934 dyplomacja francuska nie została wcale uprzedzona. Podobnież dzieje się według niego z dalszymi ważnymi aktami polityki polskiej: Polska nie zawiadamia Francji o pierwszym zażądaniu przez Niemcy, w październiku 1938, rewizji spraw Gdańska i „korytarza". Dyplomacja polska uznaje za stosowne nie wspomnieć nawet Francuzom o inicjatywie Goeringa, w lutym 1936, co do kolaboracji na linii Polska-Niemcy-Francja. *) Wreszcie, o rozmowie w Berchtesgaden p Noël czerpie wiadomości z drugorzędnych i mętnych źródeł, gdy Polacy nic mu o niej autentycznie nie zakomunikowali. Otóż — sojusz francusko-polski przewidywał podobne okoliczności: traktat z 19 lutego 1921 zobowiązywał oba rządy (art. 1) „działać w porozumieniu we wszelkich sprawach polityki zagranicznej dotyczących obu państ i mających związek z uprządkowaniem stosunków międzynarodowych" oraz (art. 4) „zasięgać wzajemnie zdania przed zawarciem nowych układów dotyczących ich polityki w Europie środkowej i wschodniej". Oczywiste jest, że te zobowiązania nie były dotrzymane.

Każdy medal ma swą drugą stronę. W swoim opisie wydarzeń Noël bardzo uważa, aby wszelkie drastyczne kroki dyplomacji francuskiej w stosunku do Polski wyglądały jako naturalna reakcja przeciw temu, co nazywa „des inqualifiables incorrections" strony polskiej. Pomimo to, materiał, jaki daje, jest sam przez się dość uderzający. Ambasador Francji w Warszawie nie waha się odsyłać dwukrotnie oficjalnej noty rządu polskiego, zanim nie uwzględnią jego poprawek. Mowę polskiego ministra spraw zagranicznych, przygotowaną na powitanie ministra Delbos, pragnie poprawiać i wygładzać. Chwali się, że dwa razy, w marcu 1936 i w grudniu 1938, przyczynił się czy to swymi informacjami, czy umyślnym brakiem inicjatywy do utrudnienia kontaktów między kierownikami polityki zagranicznej obu sprzymierzonych państw: pierwszy raz u Flandina, który nie oddał ministrowi polskiemu w Londynie jego wizyty, drugi raz u Bonneta, który nie podjął inicjatywy spotkania się z polskim ministrem, bawiącym tym razem we Francji. Z szeregu wzmianek, oświetleń, rozważań wynika stałe rozgraniczanie przez ambasadora Francji w Warszawie tego, co nazywa „la Pologne Pilsudskiste" i gdzie się gnieżdżą otwarci lub utajeni wrogowie Francji, od tego, co uważa za „przyjaciół." Toteż gdy jeden z byłych ministrów polskich ma otrzy-

*) Treść rozmowy ogłoszona w Księdze Białej, nr 22. Noël twierdzi, że o jej istnieniu dowiedział się dopiero z tej publikacji, a więc w zimie 1939.

Anglii, ani wolnej Ameryki, że nawet dla odległej a budzącej się do życia Azji wolna Europa jest niezbędna, bez niej bowiem imperializm sowiecki zniszczyłby w zarodku prawo ludów azjatyckich do stanowienia o sobie.

Dla nas, Polaków, waga tych spraw jest zasadnicza. Bo z jednej strony wolna Europa jest warunkiem naszej wolności, z drugiej zaś — bez wolnej Polski wolna Europa pomyśleć się nie da. Obecna wojna wykazała aż nadto wyraźnie, że Polska stanowi zwornik budowy politycznej naszego kontynentu, co już stokilkadziesiąt lat temu stwierdzał Napoleon.

I to są te perspektywy, z których patrzeć należy na dalszy rozwój wydarzeń.

J.J.

mać wysokie stanowisko o kategorii międzynarodowej, p. Noël zawczasu interweniuje i chełpi się faktem, iż niepożądanej nominacji przeszkodził. Trudno się opędzić wrażeniu, że pomimo całej swej dyplomatycznej edukacji ambasador nie jest zdolny sobie wyperswadować, iż jest reprezentantem akredytowanym regularnie przy innym rządzie, a nie prokonsulem Francji w Warszawie; i to prokonsulem, rozporządzającym swoim własnym polskim zaciągiem.

Ten kompleks wyższości przejawiał się nie tylko w drobiazgach i utrudniał szczegóły zwykłych czynności dyplomatycznych czy protokólarnych; stwarza on w rezultacie brak równowagi w traktowaniu ważnych zagadnień politycznych. Noël słusznie wytyka dyplomacji polskiej brak skomunikowania się zawczasu z rządem francuskim przed podjęciem ważnych kroków dotyczących polityki polskiej w rejonie środkowej Europy; ale nie wyjaśnia nam wcale, jak postąpił ze swej strony w analogicznych wypadkach rząd francuski. Czy jednostronna gwarancja Zachodu, stanowiąca podstawę układów w Locarno, została przyjęta przez Francję po omówieniu tej sprawy z rządem polskim? Czy pakt czterech, w którym Francja uczestniczyła, był przed jego zawarciem uzgodniony z Polską? Czy wielka akcja międzynarodowa, poprowadzona przez Francję, celem realizacji paktu wschodniego, była przedtem, nim zaaranżowana, omówiona z polskim sojusznikiem? — Tyleż zagadek. Dopiero wyjaśnienie na podstawie dokumentów tych naczelnych kwestyj pozwoli bezstronnie osądzić te stosunki i wykonywanie przez Francję i Polskę obustronnych zobowiązań sojuszu.

Przymierze łączące dwa państwa jest niewątpliwie układem zawartym nie tylko na określony wypadek i wchodzącym w życie dopiero wtedy, kiedy wypadek ten — na przykład agresja trzeciego państwa — stanie się faktem. Przymierze powinno być zbliżaniem, musi być stałą współpracą. Jego warunkiem koniecznym jest rozumienie się wzajemne, pewna miara sympatii dla obustronnych metod i postępowań, pewna wspólność poglądów i celów. Toteż czytelnik polski z przykrością znajdzie w książce Noëla skonstatowanie, że polityka polska, przynajmniej w głównym omawianym okresie, od 1934 do 1939, była w całości swej przeciwna polityce zagranicznej Francji, że przeciwstawiała się każdemu posunięciu dyplomacji francuskiej, na jakimkolwiekbądź polu, nawet na terenach najdalszych zainteresowaniom i zadaniom dyplomacji polskiej. Oto więc Francja uważa się za będącą w sojuszu z Czechosłowacją — a Polska traktuje to państwo jako swego wroga. Oto znów jedną z podstaw polityki francuskiej w środkowej Europie jest „Mała Ententa". Polska chce ją rozszczepić i w szczególności dąży do wyodrębnienia polityki rumuńskiej od wpływów czechosłowackich. Nie dosyć na tym. Ambasador Noël przedstawia próby zbliżenia Polski z Belgią, tak historycznie zrozumiałe i naturalne, jako nieledwie wymierzone przeciw Francji, a w każdym razie jako odciągające swym wpływem Belgię od obronnych przeciwniemieckich układów. Na stosunki Polski z Italią p. Noël zapatruje się z góry podejrzliwie; zarazem, parokrotnie, cytuje wykolejenia prasowo-propagandowe polskie, zajmujące w sprawie Tunisu stanowisko prowłoskie a przeciwfrancuskie. Cóż więc nakoniec dziwnego, że p. Noël węszy jakieś ciemne podstępy w zainteresowaniu dyplomacji polskiej Madagaskarem? Fakt, że Polska dyskutuje kwestię osiedlenia pewnej ilości Żydów na tej ogromnej a mało zaludnionej kolonii francuskiej, budzi w ambasadorze Francji najdalej idące podejrzenia: wydaje mu się, że i na tym, tak odległym, terenie Polska zaczyna prowadzić politykę ostrzem swym skierowaną przeciw interesom Francji; i gdy się przypadkiem dowiaduje, że korzystając z wizyty ministra spraw zagranicznych Rumunii polski minister spraw zagranicznych rozmawia z nim o łącznym polsko-rumuńskim zagadnieniu — o znalezieniu ujścia dla emigracji Żydów — nie waha się ostrzec p. Gafenki przed tą nową tajemniczą intrygą Polaków i z tryumfem zapisuje w swej książce, iż usłużny Rumun w lot to zrozumiał!

Ale nie zastanawia wcale p. Noëla zagadnienie, jak przedstawiała się druga strona tych stosunków, czy i jakie było zrozumienie francuskie dla zadań i celów polityki zagranicznej polskiej? Czy była chęć jej odczucia? Czy znalazła się choć odrobina sympatii?

Zostawiając na razie na boku, kwestię niemiecką i rosyjską, są trzy sprawy doniosłe dla polityki polskiej: stosunek z Czechami, stosunek z Litwą i zagadnienie bałtyckie. We wszystkich trzech alians francusko-polski obciążony jest od pierwszej chwili stanowiskiem Francji nieprzyjaznym interesom Polski. Zagadnienia czeskie i litewskie zostały definitywnie zagmatwane przez dyplomację Zachodu, przy czynnym współudziale Francji, w r. 1920; a jeszcze w 1922 r. Francja przeciwstawiła się planom polskim — związku państw bałtyckich. To obciążenie rzucało cień w przyszłość. Dążeniem Francji było naturalnie wyrównać stosunki czesko-polskie. Ale kosztem Polski. P. Noël jeszcze w 1938 bagatelizuje sprawę Zaolzia, traktuje ją bez zrozumienia i uważa ją raczej za pretekst dyplomacji polskiej do nałogowego niejako zwalczania Czechów. Ambasador okazuje wiele zrozumienia dla zasadniczego znaczenia stosunków litewsko-polskich, nawet i dla kwestii Wilna. Lecz pomimo to podsuwa najgorsze intencje dyplomacji polskiej w r. 1938 i nie ocenia wcale przełamania przez Polskę martwego punktu w stosunkach z Litwą — w sposób pokojowy. „Ultimatum" postawione nie dla wywołania wojny, lecz dla nawiązania dyplomatycznych stosunków, wywołuje w nim tylko zgorszenie poprawnego dyplomaty z klasycznej szkoły. I nie rozumie, że jego próba anglo-francuskiej w tej sprawie interwencji nawiązywała do najgorszej tradycji 1920 roku i musiała wywołać reakcję oburzenia ze strony dyplomacji polskiej.

Polityka bałtycka była jednym z głównych zadań, które stanęły przed Polską w latach trzydziestych, po rozbudowaniu Gdyni. Praca nad zorganizowaniem porozumienia w pierwszym rzędzie ze związkiem małych republik bałtyckich, w drugim rzędzie może ze Skandynawią, była dyplomatycznym współczynnikiem oparcia Polski na Bałtyku. Ambasador Francji w Warszawie nie jest po prostu w stanie podejść bezstronnie do tego zagadnienia, a cóż dopiero dążenia polskie zrozumieć i odczuć. Zbliżenie z Helsingforsem, Tallinem i Rygą było jednym z głównych celów polityki zagranicznej Polski, stanowiło przedmiot upartych jej dążeń od zarania niepodległości, od kon-

ferencji w Helsingforsie w r. 1919 począwszy. Ambasador Noël, zdaje się, nic o tym wszystkim nie wie, niczego w tej sprawie nie rozumie: usiłowania Polski w tym kierunku wydają mu się jakąś niewytłumaczoną polską manią — raczej nawet przerostem personalnych (sic!) ambicyj polskiego ministra. Jeden z zaślepionych w swym izolacjonizmie Bałtów (zapewne Łotysz) mówi do ambasadora Francji w lecie 1938: „Moja sytuacja jest wprost paradoksalna: zazwyczaj dyplomaci mają za zadanie zacieśniać stosunki swego kraju z państwem, gdzie go reprezentują; u mnie jest wprost przeciwnie: muszę pilnować, aby się nie stały zbyt bliskie". Za to zaślepienie zapłacili potem Bałtowie drogo. Ale cóż na to ambasador Francji? Nie tylko nie popiera tych życiowych spraw Polski ani nie wzmacnia jej stanowiska: wprost przeciwnie, najwyraźniej je bagatelizuje lub wprost zwalcza dopatrując się w nich kompleksu, którego częścią jest walka z Czechosłowacją!

Wszystkie te niedociągnięcia czy wykolejenia mają na swe wytłumaczenie, jeśli nie usprawiedliwienie, dwie okoliczności. Pierwszą jest rozłam opinii polskiej na tle stosunków z Francją i połączone z nim istnienie obozu zelantów francuskich w Polsce. Drugą jest zadawniona niechęć i nieufność do polskiego ministra spraw zagranicznych. *) Ale czy i w tej drażliwej, jeśli nie drastycznej, sprawie nie istnieje wcale druga strona? Można by się śmiało zapytać: jaką podstawę mieli politycy polscy, aby mieć zaufanie do głównych reprezentantów polityki francuskiej? Do ich charakterów, zarówno jak do ich intencyj?

Po kolei, w okresie urzędowania p. Noëla, kierownikami francuskiej polityki zagranicznej są: Laval, Flandin, Delbos i Bonnet. Z tych czterech jeden tylko Delbos zachował czyste imię i w czasie jego to właśnie urzędowania nastąpił wyraźny wzrost ku lepszemu w stosunkach polsko-francuskich. Laval, Flandin, Bonnet — to filary przyszłej kolaboracji z Niemcami, to współtwórcy lub kierownicy polityki Vichy. O jednym z nich, p Bonnet, ministrze spraw zagranicznych w przełomowych latach 1938—1939, znajdujemy poniższe świadectwo w nowoogłoszonej książce wspomnień generała Gamelin:

„...Poruszając z Prezydentem Daladier nasze wspomnienia z posiedzenia 23 sierpnia (1939) powiedziałem: ‚Naturalnie nie uważałem za możliwe sygnalizować braki naszego uzbrojenia i mobilizacji przemysłowej... Nie obchodziły one (bowiem) p. George Bonnet' — na co Prezydent Daladier odpowiedział: ‚I dobrze pan zrobił. Gdyby je pan przedstawił, Niemcy dowiedzieliby się o nich nazajutrz'..."

---

* Ambasador Noël znaczną część swej książki poświęca pośmiertnej walce z polityką ministra Becka. Autor niniejszej recenzji nie chce sprowadzać zagadnienia stosunków polsko-francuskich do kwestii personalnej; uważa zresztą, że do bezstronnej oceny polityki Józefa Becka brak jeszcze dostatecznych materiałów, jego zaś stosunek do Francji oświetlić winien ktoś bardziej kompetentny. Autor ogranicza się więc tylko do wskazania kilku szczegółów oświetlających metody p. Noëla.

Podając życiorys ministra Becka p. Noël wspomina o jego początkowej edukacji w Rydze („en allemand"), czemu zawdzięczać miał „rzadką znajomość języka niemieckiego" (str. 21). Uważając ten fakt za dowiedziony pisze już następnie (str. 76), iż Beck „był w dużym stopniu o kulturze germańskiej". Beck urodził się w końcu 1894; rodzina Becków opuściła Rygę, po trzyletnim tam pobycie, w 1899 lub 1900: Józef Beck miał tedy nie więcej jak 5 lat, gdy opuszczał to rosyjsko-łotewsko-niemieckie wówczas miasto.

Autor twierdzi dalej, iż „sam Beck jeździł co roku do Niemiec i zazwyczaj konferował z Kanclerzem" (str. 159). W istocie, od daty, o której mowa, od początku 1937 do końca, Beck widział się dwa razy z Hitlerem — w styczniu 1938 w Berlinie i 5 stycznia 1939 w Berchtesgaden; poza tym raz w grudniu 1937, po drodze z Genewy, zatrzymał się w Berlinie, gdzie miał rozmowę z Neurathem. W tymże ustępie p. Noël twierdzi o okresie 1936—1939, że „Ribbentrop jeździł" do Warszawy. W rzeczywistości Ribbentrop był raz tylko jeden w Warszawie — z najgorszym zresztą skutkiem — w lutym 1939.

Do tejże kategorii insynuacyj zaliczyć należy twierdzenia: o „personalnym interesie" Becka, aby się jego rodacy na jego polityce nie poznali (str 167); rzekomym dążeniu do „sukcesu personalnego' w związku z wizytą ministra Delbos w Warszawie, z którym Beck zgodniei i lojalnie współpracował (str. 174), wreszcie o „polityce wygodnej" Becka (str. 172) — zapewne najdziwniejsze z tych, jakie można było wybrać, określenie polityki, jaką minister Beck prowadził — trudnej, ryzykownej i niepopularnej.

Przyjęcie buławy przez Rydza-Śmigłego - tów jest Noël przypisać (str. 149) intrydze Becka, który chciał tym sposobem nowego „marszalka" skompromitować. Kiedy indziej, z okazji przyjęcia min. Delbosa w Warszawie (str. 178), p. Noëlowi przeszkadzają emblematy morskie dekoracji stołu u pp. Becków i upatruje w tym „procédé inattendu" (sic!) — chęć zwrócenia uwagi na „ambicje polskie" na morzach i w koloniach!

Stanisława Kuszelewska

Naród

Z książki „Dziwy życia", która ukaże się wkrótce nakładem Instytutu Literackiego w Rzymie.—

Alinie i Florze, jako nowicjuszkom, powiedziano odrazu, że najlepsza dla tej roboty jest niedziela po południu. Niemcy śpią po obfitym obiedzie albo siedzą w kinach. Patroli ulicznych jest mniej niż w dzień powszedni. Rozpoczęły więc około czwartej, żeby to, co najtrudniejsze odbyć o zmroku.

Spotkały się w szwalni, zamknęły uważnie pokoik wtajemniczonej szwaczki, policzyły uszyte opaski — nie bez wzruszenia patrząc na biało-czerwone barwy — i zaczęły toaletę. Nie każda suknia nadaje się na takie niedzielne popołudnie. Najlepsza jest — pod szerokim paltem — spódnica na rozciągliwym pasku z gumy, a na to krótki sweter, ściśnięty rzemykiem, wąskim, ale niezawodnie mocnym. Ten rzemyk właśnie należało teraz zdjąć, nanizać na niego białoczerwone opaski, jak miękkie obwarzanki na sznurek, po czym rzemyk, opuchły tkaniną, zapiąć znowu na sobie, tym razem pod swetrem i pod spódnicą. Po to właśnie spódnica jest na gumce. Ładunek zdejmować się będzie zapewne w obecności mężczyzny i pośpiesznie. Wtedy wystarczy unieść dół swetra i trochę rozciągnąć spódnicę w pasie. Jeśli kobieta jest wysoka, a palto szerokie, nienormalny obwód pasa nie jest dostrzegalny. Na ulicy zamaskuje sytuację wesoła rozmowa i swobodne kroki.

Na rzemyk daje się nawlec nie więcej niż osiemdziesiąt sztuk „towaru", ale jeśli transport musi być jednorazowo większy, można jeszcze nawlec sobie po dziesięć sztuk na każde przedramię, pod swetrem.

Tadeusz Schaetzel

KRWAWE ŁUNY

Jest wieczór 29 listopada. Myśl błąka się wśród uśpionych drzew Łazienkowskiego parku. Szelest zeschłych liści miesza się z szeptem spiskowców „nocy listopadowej". Obok pomnika króla Jana pojawia się szwadron 1 pułku szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, zmierzając z koszar ku alejom Ujazdowskim. Od Solca bije łuna, hasło powstania. Nad całą Warszawą palą się olbrzymie krwawe blaski pożarów 44 roku. Pożary zgasły. W parku Łazienkowskim, pokaleczonym przez Niemców, rozłożył się tabor sowiecki, na belwederskim dziedzińcu Bezpieka.

Znikła przestrzeń dzieląca od Kraju; zatraciła się kolejność wypadków. Na płaskim ekranie wyobraźni zjawiają się obrazy jedne obok drugich. A każdy z nich jest także odbiciem rzeczywistości narodowego bytu; jest fragmentem potężnego dramatu z wielowiekowych zmagań Polski i Rosji.

Nad polem walk Polski i Rosji dwa duchy narodów prowadzą tytaniczne boje. Zdobycie terenu i przesunięcie granic, wygranie bitew lub wojen — to tylko cząstki właściwych celów. Sensem istotnym walki jest zwycięstwo własnej racji istnienia. Bo oba narody przepojone są do głębi odrębną treścią duchową.

Polska, położona między Zachodem i Wschodem, umiała zespolić wpływy idące z dwu odmiennych kierunków. Potrafiła doprowadzić je do harmonii i stworzyć swoistą syntezę wartości. Jest jak wspaniałe drzewo, które tkwiąc korzeniami we własnej glębie ma konary ukształtowane pod naporem wichrów i burz uderzających z wszystkich stron.

Rosja nie zdołała pogodzić w sobie tych sprzeczności, nie stopiła ich w jedno. Współistnienie biegunowych cech, powoduje biegunowość duszy narodu i ludzi. Stawia ono Rosjan wobec nierozwiązalnych zagadek. Wyjście ze sprzeczności znajdują silni w despotyzmie, słabi w niewolniczym uleganiu obcej woli. Są tacy, którzy wcale nie znajdują wyjścia. Mur staje przed ich oczyma — „tupik". Takiego pojęcia nie zna chyba żaden inny naród w świecie. Osobliwy niepokój duszy rosyjskiej pociągający tajemniczością działa na obcych jak narkotyk.

Rosja jest to olbrzymi polip, który pod wpływem nieopanowanego musu rozpościera niezliczone zachłanne ramiona we wszystkich kierunkach ziemi.

Polska i Rosja mają wspólne podłoże plemienne. Tej oczywistości nikt zaprzeczyć nie może. Ale niemniej prawdziwe jest to, że od pierwszych kroków, po wyjściu z plemiennej kolebki, oba narody rozeszły się w rozbieżnych kierunkach. Każdy z nich wyrobił i wcielał inne pojęcie życia. Toteż skazane były na to, by współżycie bliskich sąsiadów tej połaci ziemi było pełne burz.

Za Polską stoi cała zdobywcza kultura Zachodu. Ale w chwilach krytycznych, opuszczona zazwyczaj przez sprzymierzeńców, walczyć musiała samotnie. Rosja ma własny tylko, obcy Zachodowi, sens istnienia, ale w momentach trudnych uzyskiwała z reguły pomoc swych wrogów, urzeczonych mirażem nie urzeczywistnionych nigdy nadziei.

Przedrozbiorowa Rzeczpospolita występowała do walki, zbrojna we wszelki oręż suwerennego państwa: politykę dynastyczną, wojsko, akty dyplomatyczne, politykę wyznaniową. Przy całej głębokości różnic i przeciwstawności z Rosją było podówczas miejsce także na próby ułożenia stosunków drogą dwustronnego porozumienia. Tak było wtedy, gdy kanclerz Zamoyski i hetman Żółkiewski szli ku realizacji unii z Rosją wzorem unii polskiej z Wielkim Księstwem Litewskim.

Od czasu rozbiorów zmagania się Polski z Rosją przybrały charakter inny. Polska bez państwa, naród bez pancerza podjąć musiał śmiertelny bój o prawo do życia. Warunki dziejowe tego okresu narzucały Polsce środki walki najcięższe; prace podziemi, powstania i rewolucje. Wszelkie próby porozumienia i kompromisów z zaborcą dawały jedynie doraźne zyski, kosztem wstępowania

---

Musi — nie musi. Opaski będą potrzebne dopiero na czas powstania, ale pośpiech wyniknąć może stąd, że któryś oddział chce już wykończyć swój skład broni, zamurować go lub zasypać. Wtedy trzeba dostarczyć tyle opasek, ile zamówił dowódca oddziału. Nie będzie przecież czekał, nie będzie otwierał składu dla kilkudziesięciu lub kilkuset biało-czerwonych kółek z płótna.

Łączniczki wolą zwykle opakować się do ostanich granic — sto sztuk na osobę — niż iść drugi raz w to samo miejsce.

Zmrok już zapadł. Szwaczka otwiera drzwi i kreśli w powietrzu znak krzyża nad głowami Flory i Aliny. Ich ręce sprawdzają raz jeszcze zapięcie paska. Mówi się: „Życie wisi na włosku"—to niewłaściwy obraz. Natomiast: „Życie wisi na pasku", więcej: „na klamerce paska" — oto jest żywa prawda. Klamerka wygląda niezawodnie, ale kto ją wie? Może pęknie właśnie tej niedzieli po południu?

Pierwsze kroki są trudne. Ulica pełna śpieszących ludzi. Po cóż by miał kto patrzeć na dwie kobiety, które — rzecz prosta — nie są ani zbyt młode, ani za piękne. Ot, jedne z wielu. Jednakże Flora i Alina idą jak nagie pod spojrzeniami, których nie ma. Każdy na pewno zwróci uwagę na zgrubienie ich postaci. Cóż z tego, że palta fałdziste? Idzie patrol. Wtedy kolana sztywnieją, a w końcach palców osiada chłód. Rozmowa ożywia się natychmiast, oczy patrzą wprost przed siebie. Nie w oczy żandarmom — bo i poco? — ale też, broń Boże, nie w bok.

Raz, dwa, trzy, cztery. Dziesięć kroków sztywnych. Potem znowu krew krąży normalnie.

Przecznice ulic zwolna odpływają wstecz. Drugi patrol już łatwiej minąć. Zresztą, patroli mało, dzień i godzina wybrane dobrze.

Nagle z mijanej bramy wyskakuje Niemiec. Jednym susem, jakby prosto na kobiety. Potrącił — przebiegł. Aha, chciał dopędzić mijają-

na drogę prowadzącą naród do zagłady.

Lata 1830/31 stoją na przełomie dwu tych epok. Kongres wiedeński, który uznał rozbiory Rzeczypospolitej, powołał do życia Królestwo Polskie. Nowe to państwo miało być związane z cesarstwem rosyjskim unią realną. Wspólny miał być tylko monarcha oraz urząd i przedstawicielstwa zagraniczne.

Jakież mogło być współżycie między dwoma członami tej unii, gdy z jednej strony było sztucznie stworzone czteromilionowe państewko, a z drugiej 51-milionowe imperium stojące u szczytu potęgi politycznej. Konstytucyjne królestwo, z ludnością przeniknięta kultem wolności, związane zostało z despotycznym państwem cara i tłumem jego niewolników.

Karykatura unii nie mogła wytrzymać próby życia. Metody rosyjskich rządów musiały doprowadzić do krwawej rozprawy.

Tragiczne okoliczności nie pozwoliły wówczas na zwycięstwo, które leżało jakby w zasięgu ręki. „Polska upadła nie pod uderzeniami sił zbrojnych" — pisał de Borny — „ale pod uderzeniami dyplomacji rosyjskiej". Nota Rządu Narodowego z okresu prezesury ks. Adama Czartoryskiego tymi słowami tłumaczy ówczesne polskie decyzje: „Polegaliśmy na szlachetności i mądrości gabinetów... Gdyby nie obietnice gabinetów, moglibyśmy byli zadać cios, który może byłby stanowczym; lecz osądziliśmy za potrzebne zwlekac".

Biada zwyciężonym. Długoletni zabór i zrywy bez powodzenia kruszyć zaczęły odpornośc duchową Polaków. „Realizm", zrodzony w niewoli, zatruwał stopniowo krew. Polska obsuwała się zwolna ku przepaści.

Zwycięstwo 1920 roku przywróciło Polsce właściwą postawę wobec Rosji. Odrodziły się warunki umożliwiające naturalny układ stosunków między obu narodami. Na konferencji pokojowej w Rydze przewodniczący delegacji rosyjskiej Joffe ofiarowywał Polsce granice wysunięte bardziej na wschód, niż zakreślała je delegacja polska. Ale zwycięska strona wykazała umiar. Duch traktatów był pojednawczy. Żaden artykuł nie ukrywał ziarna, z którego mogłaby się rozwinąc wola odwetu.

Józef Piłsudski, jako Naczelnik Państwa, w takim sensie wypowiedział się o stosunkach obu narodów: „Myśmy byli w Moskwie, oni byli w Warszawie" — można zakończyć między Polską a Rosją epokę takich dążeń.

Kiedy Rzeczpospolita wzrosła w siły i znaczenie, doszło do zawarcia paktu nieagresji i gestu przyjaźni ze strony sowieckiej. Gorąca manifestacja widowni opery moskiewskiej, podczas wizyty min. Becka, wzbudziła zdumienie także wśród mieszkańców Kremla.

Przez gruzy Polski utorowała sobie Rosja drogę na zachód, gdy powstały po temu warunki. Dla materialnego zniszczenia Rzeczpospolitej przyłożyła ręki do zbrodni hitlerowskich. Pognębienia politycznego dokonała wespół z wielkimi mocarstwami Zachodu.

Gen. Sikorski i prem. Mikołajczyk jeździli do Moskwy wtedy, gdy Polska była dławiona przez Niemcy i pozbawiona poparcia sprzymierzeńców. Czy obraz całej przeszłości i ówczesnych stosunków uprawniały do przekonania, że w takim położeniu można osiągnąc w stolicy rosyjskiej dodatnie rozwiązanie podstawowych spraw Polski? Bezpośrednie rokowania obu premierów ze Stalinem, a samego już Mikołajczyka także z ówczesnym „rządem lubelskim" miały odwrotne następstwa polityczne: 1) ułatwiały mocarstwom zachodnim wyłamywanie się ze zobowiązań wobec Polski i zrzucanie z siebie winy za skutki postanowień Teheranu i Jałty; 2) umożliwiły Rosji okłamanie świata co do rzeczywistych zamiarów w stosunku do Polski.

Niech więc ci, co odważają się nieść odpowiedzialnośc za losy narodu takiego, jak polski — wpatrzą się uważnie w łuny Solca i Warsza-

---

cy tramwaj. Ale — „Na złodzieju czapka gore", a miękki ładunek płonie i piecze pod ubraniem. Po własnym mieście przemykać się jak złodziej, bać się każdego, w każdym węszyć wroga. Jakaż żałość, samotność, opuszczenie — czuje Flora. Nie trzeba nawet rewizji, wystarczy niewinne, jakże częste w ostatnich czasach, zapytanie o dowód osobisty.

Dokumentów nie bierze się ze sobą na taką wyprawę. Pozostaje odpowiedź: „Nie mam". Wtedy koniec. Wtedy zabiorą i rozbiorą. A potem zaczną wybijać z człowieka prawdę. „Od kogo?" „Do kogo?" Czy wtedy ciało sprosta duszy?! Florę przebiega dreszcz.

— Wierzysz w szatana? — pyta niegłośno.

— Uwierzyłam — odszeptuje Alina.

— Cóż Bóg na to wszystko? Cóż Bóg ?!

— Nie wiem. Może walczy z szatanem i jest u kresu sił. Może trzeba Mu pomóc...

Coraz ciszej dokoła, coraz ciemniej, coraz spokojniej. Uliczki już węższe, bardziej bezludne, prawie nie oświetlone. Świat powoli wraca na swoje miejsce, domy już nie padają na głowy, każda brama nie zieje grozą, każdy przechodzień nie jest Niemcem i nie patrzy na środkowy guzik palta. Jeśli zacząć rozmawiać o przedwojennej wycieczce w Tatry, albo o tej, która nadejdzie po wojnie, można nawet zapomnieć, że nie na spacer prowadzi ten chodnik. Najlepiej przypominać sobie jakiś dawny, odległy, niezapomniany zjazd na nartach. Właśnie ten spokojny, posuwisty, miękkośnieżny, niezmącony. „Zjazd z Jawornika, zjazd z Jawornika" myśli rytmicznie Alina. To pomaga na pewno. Napięcie nerwowe spada, odprężają się palce, miękną stawy. Już dobrze.

Pustka przedmieścia i wieczoru. Błysnęły gwiazdy, pierwsze marcowe gwiazdy. Już domki małe, ubogie, już puste place, zapuszczone ogrody, koślawe płoty. W okienkach, zasłoniętych czarnym papierem, mrugają żółte, bojaźliwe szpary, samotnie zagubione w ciemności. Czasem ktoś przemknie. Swój. Niemcy nie zapuszczają się w te strony po zapadnięciu zmroku. Tak, to swój. Ale czy naprawdę swój?

Niemcy już nie straszni, tu na przedmieściu. Straszny jest teraz ob-

wy. W krwawych blaskach tych pożarów dojrzą dwie prawdy:

Polska może dążyć do współżycia z Rosją tylko wtedy, gdy ma byt całkowicie niepodległy i gdy jest silna.

Ale wówczas kiedy pozbawiona jest samodzielnego bytu — paktowanie z Rosją jest równoznaczne z wstępowaniem na drogę, która prowadzi naród do zagłady.

ZJAZD PRZEDSTAWICIELI UCHODŹSTWA POLSKIEGO W BRUKSELI

W dniach 27-29 listopada 1946 r. odbył się w Brukseli pierwszy zjazd delegatów polskiego uchodźstwa wojennego, zwołany z inicjatywy Zjednoczenia Polskiego w Niemczech. Zjazd ten zgromadził przedstawicieli 12 krajów europejskich i Środkowego Wschodu, w liczbie 86, którzy reprezentując według klucza: 1 delegat na 10.000 ludności, byli wyrazem woli i opinii ponad 800.000 polskich uchodźców wojennych.

Najsilniej reprezentowana była ludność cywilna z obozów (D.P.) w Niemczech (45 delegatów). Z innych krajów wymienić należy: Włochy (11 delegatów), Anglię (10 delegatów), Francję (9 del.), Austrię, Belgię, Danię, Holandię, Szwajcarię, Szwecję oraz Środkowy Wschód (2 delegatów: kpt. dr Surzyński, SPK, i przedstawiciel Polaków z Libanu).

Na zjeździe nie było przedstawicieli Afryki Wschodniej, Indii, Meksyku, Ameryki Połudn. oraz Stanów Zjednoczonych A.P. Zaznaczyć przy tym należy, że delegaci tych krajów nie mogli wziąć udziału w zjeździe z powodu trudności komunikacyjnych oraz że już uprzednio, bo w październiku 1946, odbył się w Brukseli zjazd Świat-Polu, tak iż Polacy z Ameryki mieli już uprzednio możność zajęcia stanowiska w sprawie uchodźstwa wojennego na tym właśnie zjeździe październikowym.

Bardzo znamienny był fakt, że prócz delegatów wzięło udział w zjeździe ponad 100 osób w charakterze gości i obserwatorów, tak iż ogólna ilość uczestników dochodziła prawie do 200 osób. Wśród gości podkreślić należy obecność przedstawiciela Legionu Czeskiego, gorącego zwolennika współpracy ujarzmionych krajów Międzymorza.

Przewodniczącym zjazdu został obrany mec. Okuła, wiceprezes Zjednoczenia Polskiego w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemieć. Główna i istotna praca zjazdu odbywała się w 4 komisjach: głównej (równocześnie komisja-matka), ideowej, programowej i statutowej. Na komisjach wygłoszono 4 referaty dyskusyjne, które wywołały żywe zainteresowanie i wykazały wysoki poziom wymiany zdań. Szczególną uwagę wzbudził referat członka b. rządu podziemnego p. Sulimirskiego, który mówił o sytuacji w Kraju.

Referent stwierdził ze specjalnym naciskiem — na podstawie głębokiej oceny ewolucji stosunków politycznych i społeczno-gospodarczych w Kraju, iż zasadnicze przemiany, jakie dokonały się w Polsce, są radykalne i nieodwracalne. Stanowią one własny wkład myśli politycznej całego polskiego świata pracy i nie są narzucone wolą czynnika obcego. Fundamentem tego wkładu jest deklaracja ideowa rządu podziemnego, którą Naród Polski wypracował nie pod wpływem nowych „ożywczych i prawdziwie demokratycznych" prądów wschodnich, lecz w trosce o dobro i rozwój państwa.

Do zasadniczych przemian zalicza się przede wszystkim: reforma rolna wraz ze zniknięciem folwarku i dziedzica; narastanie stanu średniego, zajmującego się handlem; upaństwowienie podstawowych gałęzi przemysłu wraz z zapewnieniem robotnikowi udziału w zyskach oraz olbrzymi dorobek polskiego ustawodawstwa ubezpieczeniowego. Przemianom tym towarzyszy, równolegle dokonane, moralne przeobrażenie człowieka. Podziwu godna siła regeneracyjna narodu, w którym zatarły

---

cy dom, do którego trzeba wejść za chwilę. Obcy człowiek, związany hasłem i godziną. Ale kto go wie? Może być omyłka, moża być zasadzka. Idzie się przecie do składu broni, który może jest już zdradzony.

Nie patrzeć na ciemne okna, na migające sieroce iskry szpar, zbłąkanych w cieniu. Popatrzeć lepiej w gwiazdy. Ale one również są groźne.

— Kobieta — myśli Flora — kobieta powinna w taki rozmokły wieczór siedzieć w ciepłym pokoju, zapalić lampę, pić herbatę, coś szyć, z kimś rozmawiać, poczytać, kochać. Gdzieś przecież jest taki świat!

— Co my tu robimy, Alino?! — pyta głośno od rzeczy, a zęby szczękają z zimna.

— Może pomagamy... — odpowiada cicho drugi głos, ręka krótkim ruchem wskazuje niebo, a po ciemku czuje się uśmiech.

Jest ta ulica. Płot, drzewo, nadłamany słup — to tu. Zapałka sprawdza numer nędznej kamieniczki. Dalej nagie ogrody. Jeszcze trzy zapałki prowadzą na drewniane schody. Pięterko: „Szymon Dzik, murarz" — obwieszcza różowy szyldzik zielonymi literami. Zgadza się.

Kręcony dzwonek, zimny w zimnych palcach. Natychmiast za drzwiami kroki. W drzwiach szary szłowieczek, bez wieku, prawie bez postaci. Patrzy pytająco. Naftową lampę trzyma w ręku.

— W sprawie dziecinnych pończoch — mówi głośno Alina.

— Czy brązowe bawełniane? — pyta domowy.

Na to pytanie już odpowiedzi nie trzeba. Wchodzą. Oto druga strona czarnego okienka z żółtą szparą: izba, garnczek na żelaznym piecyku, otomana w zielonym pluszu, stół pod serwetą, haftowaną w ptaszki, parawan.

Szymon Dzik patrzy przybyłym na ręce. Puste. Wobec tego wskazuje parawan, serdecznym ruchem i domyślnym uśmiechem.

— Proszę.

Na to obie uśmiechnęły się również. Zdjęcie paska Aliny trwa kilka sekund. Biało-czerwoną naręcz rzuca na stół, jeszcze nawleczoną na rzemyk i ciepła od ciała.

— Sprytnie — uśmiecha się Dzik. Liczą głośno: osiemdziesiąt.

— Właśnie czekałem — mówi Dzik. — Ulica ciemna, bałem się,

się różnice klas, i wejście do całości życia państwowego chłopa polskiego jako elementu podstawowego, posiadającego pełną świadomość odpowiedzialności na każdym odcinku życia publicznego, stanowią najbardziej widomy objaw przeobrażenia moralnego. Charakteryzując ten fakt można by, jak się wyraził referent, powiedzieć, że „nie Kościuszko szuka dziś w Polsce swego Bartosza, ale Bartosz szuka swego Kościuszki".

Czynnikiem, który stał się obecnie w Kraju najpoważniejszą siłą, skupiającą wolę narodu w nieustającej walce o prawdziwą wolność i niepodległość, jest Kościół katolicki. Opinia ks. kard. Hlonda, iż właściwe wybory odbyły się już w Polsce w lecie w Częstochowie, do której ściągnęło dwa i pół miliona ludzi, jest potwierdzeniem dynamicznej roli Kościoła.

Zagadnienie emigracji wojennej stanowi dla Kraju problem olbrzymiej wagi. O ile kraj może być zdolny do stawiania biernego oporu, o tyle emigracja musi się stać organiczną funkcją Kraju w najszerszym znaczeniu. Opinia Kraju głosi, że tego tylko uważać będzie za emigranta, kto okaże się czynny i nieugięty. Stąd też Kraj domaga się ulepszenia form działania Rządu i samej emigracji. Kraj bowiem przewiduje, iż niebawem może nadejść okres, w którym emigracja stanie się jedyną formą trwania i nieugiętości Narodu Polskiego.

Referat p. Rusinka (wiceprezes Zjednoczenia Polskiego w Niemczech) poświęcony był sprawom organizacji uchodźstwa. „Kto nie jest chorążym sprawy za granicą" — mówił referent — „ten nie ma prawa do azylu. Wysiłki nasze muszą zmierzać do uniknięcia atomizacji emigracji, do rewindykacji utraconych ziem wschodnich, do współpracy z krajami Międzymorza oraz do wytworzenia form zastępczych dla senatu i sejmu, jako reprezentacji całego Narodu.

Sprawom techniki organizacji opieki nad uchodźstwem poświęcony był referat p. Kobylańskiego Referent omówił zasady organizacji międzynarodowych organów opieki, poddając ostrej krytyce dotychczasową działalność U.N.R.R.A. i domagając się kategorycznie obrony uchodźstwa przed naciskami repatriacyjnymi.

Sprawie polskiej na tle sytuacji międzynarodowej poświęcony był czwarty referat p. Matłachowskiego. Główną tezą referatu było stwierdzenie konieczności stworzenia własnej koncepcji politycznej o charakterze międzynarodowym. Polska, będąca w dalszej walce o swoje prawa polityczne, musi się włączyć w orbitę międzynarodowych zagadnień i wypracować koncepcję typu uniwersalistycznego. Polityczna współpraca z walczącymi również o wolność i niepodległość krajami Międzymorza staje się dla polskiej racji stanu problemem dużej miary.

W wyniku trzydniowych obrad na komisjach, przedłożono plenum zjazdu rezolucję ideową, którą przyjęto przez aklamację jako wyraz całkowtiej jednomyślności i solidarności.

Poszczególne komisje przedłożyły swoje wnioski, uzgodnione w atmosferze wielkich wysiłków i dobrej woli w usunięciu rozbieżności i różnic poglądów. Należy stwierdzić, że poza drobnymi poprawkami plenum zjazdu przyjęło wszystkie wnioski komisji programowej i statutowej.

Z wniosków komisji programowej wymienić warto przyjęcie zasady, iż opieka nad uchodźstwem spoczywać winna w rękach polskich; domaganie się szybkiej ewakuacji Polaków z Austrii (ze względu na możliwość zawarcia traktatu pokojowego); dążenie do zdobycia dla uchodźstwa polskiego statutu konsultatywnego w międzynarodowej organizacji dla spraw uchodźczych (I.R.O. przy U.N.O.); domaganie się zrównania w prawach uchodźczych wszystkich b. żołnierzy polskich (A.K., kamp. r. 1939) oraz więźniów obozów koncentracyjnych, dążenie, aby P.K.P.R. stał się faktycznie podstawą dla przysposobienia do zawodowego życia cywilnego; zabiega-

---

czy panie trafią. Błocko też niezgorsze, kto by tam teraz ulice sprzątał, wpierw trza szkopów powysprzątać — śmieje się. — Panie zmarzły? Proszę sobie usiąść tu koło piecyka.

— Dziękujemy, nie mamy czasu, jeszcze musimy gdzie indziej. A przecież i pan się śpieszy...

— Ja się nie śpieszę.

— Jakto? Przecież to chyba tu nie zostanie? — dziwi się Flora. — Trzeba to przed nocą... gdzieś... jakoś... prawda?

— Gdybyż to tylko to, moja paniusiu!

Ciepło za czarnym okienkiem, swojsko, domowo. Jakże mocno uścisnęli sobie ręce na pożegnanie, jak mocno. Nie widzieli się nigdy, nie zobaczą się nigdy: one — siostry, on — brat.

W następnych ciemnych uliczkach nie czyha już żaden lęk. Kroki śmiało mlaskają po kałużach, świecą gwiazdy wśród drzew i murów. Potem znowu zapałki na następnych koślawych schodach.

— W sprawie dziecinnych pończoch — mówi Flora w otwarte drzwi, kiedy kobiecinka, stojąca na progu, obciera sobie fartuchem zamydlone ręci i mokry nos.

— Proszę, proszę, czekałam — odsuwa się uprzejmie, żeby goście weszli. Ale łączniczki stoją nieruchomo, choć z uśmiechem.

— Oj, prawda, zapomniałam — szepce babina, pociągając nosem. — Czy brązowe bawełniane?

Teraz wchodzą i witają się serdecznie. Znowu naftowa lampa, ciepły kąt, balia z namoczoną bielizną, okienko zaciemnione podartym papierem. Babina zaciera ręce.

— Fajno panie trafiły, ciemno tera takie, że jej. Jasiek mi przykazał, że trza przyjąć osiemdziesiąt. Panie nie przyniesły?

— Przyniosłyśmy, owszem.

Flora rozpina palto, podciąga sweter, zsuwa gumkę spódnicy.

— Proszę — uśmiecha się dowcipnie.

— Hehehe — odpowiada gospodyni, pokazując resztki zębów.

— Morowo.

Nagle zachlipała.

— O tego mego Jaśka, to już ni mogie. Dnia ani nocy spokojny ni mom. Już mi Franka złapały na ulicy, starego mi tyż wywiezły do Prus, będzie rok z kawałkiem. Moja pani, czy one nas

nie o stworzenie za granicą samodzielnego instytutu badań naukowych dla Polaków (o typie uniwersyteckim).

Komisja statutowa **przyjęła nazwę organizacji „Zjednoczenie Polskiego Uchodźstwa Wojennego", którego działalność objąć winna wszystkie znajdujące się na świecie ośrodki emigracji wojennej.**

Członkiem Zjednoczenia mogą być organizacje terenowe danego państwa. Na siedzibę obrano Brukselę, w której istnieją warunki sprzyjające dla rozwoju organizacji. Władze Zjednoczenia składają się ze zjazdu, rady (po 2 delegatów z każdego kraju) oraz komitetu wykonawczego (15 osób). Każdy delegat na zjazd reprezentuje 10.000 osób.

Wynikiem pracy komisji ideowej **była deklaracja, w której przebija głębokie zrozumienie chwili dziejowej i powagi zadań, jakie stoją przed uchodźstwem polskim. Deklaracja ideowa poprzedzona inwokacją w stylu, przypominającym „Księgi pielgrzymstwa", stanowi moralny i polityczny drogowskaz dla polskiego uchodźstwa wojennego. Toteż przez plenum zjazdu przyjęta została w atmosferze zdecydowanej solidarności i najwyższych nakazów moralnych oraz niezbędnych w walce o jutro Polski cnót, którymi jest wiara, nadzieja i męstwo.**

Komisja główna, **która była zarazem komisją-matką, dla ustalenia list wyborczych do władz Zjednoczenia, przedłożyła plenum zjazdu dwie listy, nie mogąc w zakresie powołania do życia ciał reprezentacyjnych osiągnąć porozumienia co do klucza wyborczego i charakteru organizacji.**

Tym samym dojść musiało do starcia dwóch odmiennych poglądów, z których jeden stanął na gruncie klucza partyjnego (według rady politycznej stronnictw), drugi zaś, reprezentowany przez część delegatów z poszczególnych krajów oraz głównie przez Słowarzyszenie Polskich Kombatantów i organizacje zawodowo-społeczne, domagał się nadania Zjednoczeniu charakteru organizacji nie partyjnej, lecz społecznej.

W wyniku tajnego głosowania — pogląd drugi odniósł bezapelacyjne zwycięstwo, wykazując, iż większość reprezentantów uchodźstwa polskiego uważa wszelkie objawy partyjnictwa za szkodliwe i utrudniające spełnienie niezwykle ciężkich zadań organizacyjnych.

Kandydat na prezesa Zjednoczenia p. Czarkowski (Str. Nar.) uzyskał 32 głosy, kontrkandydat zaś jego p. Rusinek otrzymał 49 głosów i został wybrany zgodnie ze statutem na roczną kadencję prezesem Z.P.U.W.

Wiceprezesami — w liczbie 4 — wybrani zostali panowie: E. Hemmerling (Niemcy), inż. J. Różański (Anglia), S. Gierat (S.P.K., II Korpus) i Szyszkowski (Francja).

Sekretarzem generalnym wybrano p. S. Grota (S.P.K., II Korpus). Skarbnikiem został p. S. Lubaczyński (Niemcy).

Po zakończeniu zjazdu, prezydium Z.P.U.W. zostało przyjęte w Londynie przez Pana Prezydenta R.P., który ocenił wyniki zjazdu jako wybitnie pozytywne wyrażając pogląd, że dokonana w Brukseli organizacja uchodźstwa polskiego jest wydarzeniem wielkiej miary.

Zjazd brukselski rozpoczął nową kartę w dziejach naszej emigracji wojennej. Rozpoczął ją w chwili, kiedy rola emigracji staje się równoznaczna z dotychczasową rolą polskiego żołnierza. Idzie o dalszą walkę o naszą wolność, o zrzucenie jarzma sowieckiego okupanta i utrzymanie za wszelką cenę sprawy polskiej i krzywdy polskiej w świadomości całego świata demokracji. Emigracja nasza jest ramieniem siły Kraju. Gdy siła Kraju coraz bardziej będzie tłumiona i osłabiana, nasze ramię musi stać się podwójnie mocne. Wzmocnić go możemy tylko olbrzymim wysiłkiem woli, jedności i celowości działania. A przede wszystkim może — wiarą w sens naszego trwania i w sens naszego męstwa.

K. P.

---

wszystkich tak pomarnujom? Czy już Pan Bóg nimo na nich rady, czy jak?

Cóż miały odpowiedzieć Flora i Alina? Pocałowały matkę Jaśka, pomyślały o swoich dzieciach.

— Niech się pani trzyma, przyjdą jeszcze nasze czasy, my wszyscy jednakowo, wszyscy to samo... — mówiła prędko Flora.

— A tych opasek, proszę pani, to jest osiemdziesiąt, jak miało być. Trzeba dobrze schować — dodała Alina.

— To się wi.

Pocałowały się raz jeszcze, głośno i mokro.

— Czy już będzie siódma? — zagadnęła gospodyni we drzwiach.

— Jaśka coś nie widać.

— Tak, już dochodzi siódma, musimy się bardzo śpieszyć — odrzuciły jedna przez drugą, doszukując się poręczy ciemnych schodów.

Na następnej uliczce, niedaleko, miał być drewniany parterowy domek ogrodnika. Furtka, inspekty, gołe krzaki bzu. Wszystko jest. Ale co to? Na drzwiach domku wisi kłódka. Alina oświetliła ją zapałką, dla pewności. Tak, niewątpliwie, dom zamknięty. Obie wiedziały, jak bardzo to jest źle. Każda ma jeszcze na przedramieniu po dziesięć opasek. Godzina policyjna zapada za trzy kwadranse. Nie ma co marzyć, żeby odnieść pozostały „towar" do szwaczki, która ma skrytkę. Czasu pozostało tylko tyle, żeby pośpiesznie oddać ładunek tu, w tym punkcie, potem szybkim, bardzo szybkim krokiem dojść do tramwaju, złapać ostatni wóz i wrócić do domu. A skoro ogrodnikowi oddać nie można? Skoro drzwi zamknięte? Więc wziąć opaski do domu nie mając skrytki? Jechać z nimi tramwajem, co zawsze jest niedozwolone? Potem czekać kilka dni i kilka nocy, z tym dwukolorowym dynamitem w szufladzie, aż komendantka nawiąże nowe połączenie z rejonowym i raz jeszcze umówi termin i hasło? Pech, paskudny pech. Ktoś pomylił adres albo termin.

— Psiakrew!...

Po ciemku człapią w błocie czyjeś pośpieszne kroki. Są tuż. Mały chłopak, może ośmioletni, dotyka rękawa Aliny.

— Czy panie w sprawie dziecinnych pończoch? — pyta.

— Owszem, właśnie...

POZNAJMY PRAWDZIWĄ ROSJĘ

Jednym z zadań polskiej publicystyki emigracyjnej winno być szerzenie wiadomości o Rosji. Przeciętny Europejczyk nie zna prawdziwego oblicza kultury, polityki i dyplomacji rosyjskiej, nie rozumie lub fałszywie tłumaczy sobie wiele zjawisk i przemian zachodzących w ZSSR i nierzadko ulega sugestiom doskonale wyszkolonej propagandy sowieckiej.

Polacy — mimo swego najbliższego sąsiedztwa z Rosją — znają ją zbyt mało. I w tym tkwi szczególnie wielkie dla nas niebezpieczeństwo.

Postanowiliśmy tedy w każdym numerze swego miesięcznika przytaczać z różnych dzieł polskich wybitnych znawców stosunków rosyjskich najbardziej cenne uwagi i cytaty. Stałą tę rubrykę drukować będziemy pod nagłówkiem: *Poznajmy prawdziwą Rosję.*

W numerze obecnym podajemy kilka wyjątków z części I źródłowo znakomitego dzieła W. Bączkowskiego pt. „Rosja wczoraj i dziś" (wydanego w Jerozolimie w r. 1946).

Redakcja

. . „Dyplomacja Piotra Wielkiego dokazywała cudów w dziedzinie dywersji i przekupstwa dygnitarzy zagranicznych. Tołstoj, rosyjski ambasador w Stambule, doprowadził nie tylko do dymisji, ale nawet do ścięcia głowy wielkiego wezyra, nieprzychylnego Rosji. Wywiad rosyjski miał na liście swych agentów siostrzeńca patriarchy konstantynopolitańskiego; licznych szpiegów posiadano wśród duchowieństwa greckiego. W r. 1711 łapówki rosyjskie pobierali wielki wezyr, wielki mufti oraz posłowie angielski, holenderski i francuski wraz z żoną."

⁂

„Zdobyte w archiwum Igielstroma przez powstańców kościuszkowskich kwity rosyjskich agentów — przedstawicieli arystokracji i sfer sejmowych ówczesnej Polski — odsłaniają wspaniale przeprowadzoną i szeroko zakrojoną akcję rosyjskich ambasadorów w Warszawie. Około 110 nazwisk, w tej liczbie nazwisko króla, ks. Czartoryskiego, wojewody Dzieżbickiego, biskupa Kossakowskiego, Radziwiłła, Potockich, prymasa Poniatowskiego, kasztelana Ossolińlińskiego itd., widnieje na kwitach ambasady rosyjskiej."

⁂

Z przemówienia L. Trockiego w r. 1919 wygłoszonego do grona agitatorek, wysyłanych na Ukrainę dla propagandy przeciwko przywódcy ruchu niepodległościowego na Ukrainie — Symonowi Petlurze:

„Towarzysze! To, o czym tu mówimy o Rosji z zupełną otwartością, na Ukrainie można mówić tylko szeptem, a jeszcze lepiej w ogóle o tym nie mówić. Umiejętność milczenia należy również do jednej z form krasomówstwa. Wy, towarzysze, wyruszacie na Ukrainę. Pamiętajcie, że nie ma pracy agitatorskiej bardziej trudnej aniżeli na Ukrainie. Po raz trzeci wysyłamy tam silne kadry i za każdym razem z coraz to nową taktyką, z coraz to nowymi chwytami... Konkretnie praca wasza będzie polegała na przestrzeganiu następujących zasad:

1. Nie narzucać chłopu ukraińskiemu komuny dopóty, dopóki nasza władza tam się nie utrwali.

2. Ostrożnie wprowadzać komunę w dawnych majątkach pod nazwą arteli lub stowarzyszeń

3. Przekonywać, że w Rosji nie ma komunizmu.

4. Jako przeciwwagę wobec niepodległościowego Petlury i innych, twierdzić, że Rosja również uznaje niepodległość Ukrainy, lecz pod warunkiem istnienia tam władzy sowieckiej, Petlura zaś sprzedaje Ukrainę państwom burżuazyjnym...

5.. Tylko idiota lub prowokator — bez sensu, wszędzie i przy każdej okazji będzie mówił, że walczymy z Petlurą. Na razie, dopóki Denikin nie został całkowicie rozbity, lepiej puszczać pogłoski, że władze sowieckie są w sojuszu z Petlurą."

— Już lece po tate, tata wi, tata kupi!

Poleciał.

— Ów tata poszedł sobie przy niedzieli na kieliszeczek — uśmiecha się Flora. Kamień spadł z serca.

— Skoro synkowi kazał warować, to jeszcze nieźle — rozważa cicho Alina. — Miejmy nadzieję, że kieliszeczków nie było dużo.

Istotnie, nie było. Ogrodnik już szedł pośpiesznym krokiem, tym razem bez syna.

— Ja wiem, ja przepraszam — mówił, podchodząc.

— Tak, tak, panie sprzedają dziecinne pończochy. Czy brązowe bawełniane? Kupię dla synka. Proszę, proszę — po omacku otwierał kłódkę.

W ciemnej sionce bez okienka i podłogi zdjęły palta, swetry, potem po dziesięć miękkich, biało-czerwonych bransolet z każdej ręki, powyżej łokcia. Mężczyzna czekał, odwrócony skromnie, trzymając klamkę drzwi. Razem policzyli do czterdziestu, przy świecy w kącie na przewróconej taczce.

— Dobrze, że dziś — mówił cicho ogrodnik. — Jutro od rana porządkujemy z chłopakami szopę na narzędzia.

W mętnym, żółtawym świetle błysnęły źrenice.

— Narzędzia mam jak się patrzy — pochwalił się wesoło.— A w ogrodzie to będziemy robić porządeczek, jak słoneczko przygrzeje. Teraz jeszcze zima.

— O, tak, jeszcze zima, — odpowiedziały obie, patrząc mu w oczy.

— No, wiejcie, kobity, bo was przymkną. Już wpół do ósmej.

— Niech pan odstuka — roześmiała się Flora, już we drzwiach. Do widzenia!

Czemuż się śmiała, czemu śmiały się obie, czemuż śmieli się we troje? Uścisnęły pośpiesznie rękę mężczyzny, domytą czysto na niedzielę, i wypadły z ciemnej sionki w błoto. Jakże piękny jest świat!

Szły śpiesznie i lekko, sprężyście i pewnie. Czuły się smukłe i uwolnione, jak po porodzie.

Każda słyszy radość w rytmie kroków towarzyszki. Obie milczą. Milczą, bo w tej radości — tętni jakieś pytanie, czekające na odpowiedź. Czemuś wiadomo na pewno, że odpowiedź trzeba znaleźć. Wreszcie pytanie podpływa do świadomości, jest już wyraźne: dlaczego tak wesoło? Dlaczego nagle świat jest nie tylko piękny i bezpieczny, ale ze-

O OŚRODEK KULTURY POLSKIEJ NA EMIGRACJI

Błędem, którego nie powinniśmy sobie darować, było dotychczasowe nasze liczenie na krótkotrwałość i przejściowość naszej sytuacji, pogrążenie się w ciągłym rozważaniu negatywów naszego życia i niewykorzystanie sprzyjających okoliczności, które się przecież zdarzały. Przy świadomym na przykład i planowym nawiązaniu przez nas od początku wojny ścisłych kontaktów z nauką i kulturą anglosaską mielibyśmy już kilka młodych roczników, całkowicie gotowych do odbudowy kultury zachodniej w zdewastowanej Polsce. Wrócilibyśmy do Polski odrodzonej z najbardziej może pożądanym dla niej narybkiem inteligenckim i najbardziej rzeczowo udowodnilibyśmy Krajowi celowość naszej tułaczki poza granicami. Fatalne zaniedbanie należy jak najprędzej, a z powodu opóźnienia z jak największym wkładem energii wyrównać.

I nie myślę tu wcale o udostępnieniu tylko młodzieży naszej wstępu na uniwersytety obce. Specjaliści wykształceni na uniwersytetach zagranicznych będą oczywiście w Kraju poszukiwani i wobec naszych skłonności do kultu cudzoziemszczyzny zapewne wysoko cenieni, ale w tym kierowaniu młodzieży do zakładów obcych należy liczyć się jednak z dwoma względami: 1) część rozsmakuje się w życiu na Zachodzie i do Kraju zupełnie nie wróci, 2) ci, którzy powrócą, będą na polski grunt przeszczepiać kulturę obcą, nie zaś kontynuować własną.

Nie myślę też, mówiąc o potrzebie jak najszybszego naprawienia zaniedbań, o studiach praktycznych, jakim był na przykład polski wydział medycyny w Edinburgu. Myślę wyraźnie o naukach doktrynalnych, związanych z filozofią klasyczno-chrześcijańską Zachodu, w szczególności zaś o humanistyce.

„Wiatr od Wschodu", hulający dziś po naszym Kraju, nie wyniszczy nam doszczętnie medycyny, rolnictwa, leśnictwa, inżynierów. Może obniżyć ich poziom, ale same te działy wiedzy zatrzyma dla własnych chociażby korzyści. Większych spustoszeń dokona już w dziedzinie prawa, ale skutkiem ciągłych kolizyj przeszczepionego ze Wschodu prawa z realnym życiem polskim będą istniały tendencje do przeciwstawiania się jego koncepcjom i do szukania oparcia o niezgodne z nim zasady prawne Zachodu. Prawo więc będzie miało istotną obronę już w samej naturze Polaka.

Najgorzej jednak sprawa ma się z humanistyką. Tę z biegiem czasu, powoli a nieznacznie, przy systematycznej a planowej akcji, można zupełnie przestawić na obce nam tory. Tym bardziej, że wśród dotychczasowych pracowników na tym polu już Niemcy zasieli olbrzymie spustoszenie, ze szczególną predylekcją wyniszczając polonistów i historyków, a literatów pozostałych przy życiu w znacznej liczbie zdołali już do współpracy ze sobą pozyskać obecni „dzierżawcy" naszego Kraju, literaci zaś, jak wiadomo, magna pars sunt rozwoju humanistycznego.

Gdy po powstaniu listopadowym groziła ziemiom polskim inwazja literatury rosyjskiej, ówcześni nasi powieściopisarze, aby temu zapobiec, a z dorobku emigracyjnego nie mogąc korzystać, zwrócili się świadomie do literatury francuskiej. To samo powtórzyło się po powstaniu styczniowym.

Na podobny odruch ze strony „artystów słowa" w obecnej Polsce jakoś się nie zanosi dotąd, a przy tym i literatura francuska znajduje się dziś na rozdrożu (między katolicyz-

---

straja się w mądry ład, jak te konstelacje, błyszczące nad głową?

— Czemu tak? — myślą obie, choć żadna nie mówi nic.— Czy dlatego, że opadł strach, jeden i drugi, przed wrogiem i przed swoimi? Czy dlatego, że teraz niech się boi kto inny?

Odpowiedź ma być znaleziona w milczeniu, w obliczu gwiazd.

— Nie chcę już sprzedawać dziecinnych pończoch — mówi nagle Flora. — Chcę sprzedawać kartofle. Jutro pójdę w tej sprawie do hurtowni.

— Właśnie postanowiłam to samo — odpowiada wesoło Alina.

Para łączniczek — to jak załoga samolotu: myśli to samo, choć po swojemu. Naturalnie, że trzeba jutro zgłosić się do komendy o przydział do noszenia granatów. Naturalnie, że rozprowadzanie opasek — to dziecinna zabawa.

— Ale skoro tak — myśli dalej Alina — to co oznacza nasza radość?

Teraz już oczywiste, że to nie odpłynięcie strachu, nie ulga dla tchórzóstwa. Skoro bowiem od jutra pójdzie się na gorszą robotę...

Alina wie, że milczenie Flory ukaże za chwilę myślom właściwy trop. Często tak bywało: załoga. Trzeba poczekać.

Ulice już szersze, bliższe śródmieścia, ludne, prawie czarne. Za chwilę błysną szyny tramwaju, wróci powszedniość. Nagle Flora przytula się miękko, bierze Alinę pod rękę.

— Słuchaj, — szepcze, obejrzawszy się ostrożnie. — Jacyż oni wszyscy byli bliscy, jacy swoi...

Jest! Oto jest trop prawdy. Alina odpowiada tylko siostrzanym przywarciem ramienia.

Idą w milczeniu.

Teraz ze wszystkich okien miasta, małych i dużych, dostatnich i ubogich — dziś jednakowo zasłoniętych czernią — uśmiechać się zaczynają ciepło drobne świetliste punkty, jasne błyski w czarnym papierze, braterski łańcuch porozumienia. Iskrom ziemi i krokom ludzkim, idącym przez ciemność, podaje Orion, wprost z niebios, pomocne ramię, niezmienne, niezawodne.

Wtedy stamtąd nadpływa odpowiedź.

— My wszyscy — mówi do siebie Flora — ja czuję...

Zamilkła, nie znalazła wyrazu.

Alina kończy na nią:

— Dzieło boże, naród.

mem a właśnie wpływami wschodnimi) i prawdziwej odtrutki stanowić nie może.

Uratowanie od zagłady kultury polskiej i związanie jej z bardziej zbawczymi, niż dotychczasowe francuskie, źródłami spada na emigrację. Zapowiedź zorganizowania masowych skupisk polskich i naturalność naszego kontaktu z nie ulegającą takim, jak francuska wahaniom kulturą anglosaską — to zadanie, na nas ciążące, znakomicie nam ułatwić może. Trzeba tylko, byśmy młodzieży do studiów wyższych gotowej, nie oddawali pod wpływy kultury mimo wszystko nam obcej, lecz utrzymali ją przy sobie, w promieniowaniu źródeł obcych, ale i dziejowego dorobku własnego.

W tym celu nieodzowne jest jak najszybsze założenie w którymś ze skupisk naszej emigracji polskich wyższych studiów humanistycznych, z Polakami — wykładowcami — i w zasadzie z polskim językiem wykładowym.

Posiadanie przez takie studium praw nie jest przy tym rzeczą istotną. Tzw. latający uniwersytet warszawski praw żadnych nie posiadał, a w rozwoju naszej umysłowości odegrał rolę historyczną. Początkowemu brakowi praw formalnych przy istotnie wysokim poziomie prędzej czy później zaradzi samo życie.

Czy takie studium jest do pomyślenia? Bez żadnej wątpliwości!

Przecież już w tym kierunku inicjatywa prywatna, jak się w toku pisania tego artykułu dowiedziałem z prasy, święci triumfy w postaci Studium Polonistycznego w Bejrucie. To, co tam uczyniono dla garstki młodzieży, tym łatwiej może i tym konieczniej musi być uczynione dla wielkich jej gromad. Czego jak czego bowiem a młodzieży z pewnością nam nie zabraknie.

Raczej potrzeba liczyć się z jej nadmiarem. Od kilku lat przecież nasze wojsko konserwuje w swych kadrach setki chłopców i dziewcząt z ukończoną szkołą średnią nie mogących się dostać na uniwersytet. Wobec ostatnio notowanego pędu do nauki i skutkiem tego licznie powstałych przy wojsku gimnazjów i kursów na poziomie średnim, liczba oczekujących na otwarcie im podwoi wiedzy wyższej idzie obecnie w tysiące. Część z nich co prawda odpłynie do wyższych zakładów fachowych, część zostanie zmuszona do pracy zarobkowej, ale przy obliczaniu możliwości rozwoju uczelni tej ostatniej kategorii młodzieży również przekreślać nie trzeba. Skoro konieczność pracy zarobkowej nie przeszkadzała studenterii polskiej w Kraju tym bardziej nie może stanowić istotnej przeszkody na emigracji. Będzie chodziło o to tylko, by młodzież studiująca ową pracę zarobkową mogła otrzymać w miejscu swoich studiów.

Nie będziemy też cierpieli na brak sił fachowych. Przede wszystkim posiadamy na emigracji sporą liczbę rzeczywistych profesorów uniwersytetu, którzy dotąd absolutnie są niewykorzystywani. Następnie sporo mniej lub więcej już przed wojną zaawansowanych naukowców w latach tułaczki studia swe pogłębiało ci wiec również z pożytkiem dadzą się wykorzystać. Sa też i tacy, którym ich służba wojskowa kontynuację studiów przerwała, ale którym łatwiejszy na Zachodzie dostep do źródeł wiedzy pozwoli z łatwością wznowić ich przedwojenne dążenia.

Nie przypuszczam przy tym ani na chwilę, żeby kultura anglosaska przy tego rodzaju poczynaniach naszych nie pośpieszyła nam z wydatną pomocą, jeżeli przez odpowiedni dobór kierownictwa i odpowiednie przemyślenie planów udowodnimy solidność zamierzeń. Może przeciętny Anglik czy Amerykanin nie rozumieć ducha współczesności, ale odbywające się w tej chwili starcie dwóch kultur sobie przeciwstawnych dla ludzi wiedzy nie jest żadną tajemnicą.

Reasumując: czeka młodzież, czekają uczeni, czeka kulturalnie wyniszczony Kraj, czeka nie pozbawiona pragnienia ekspansji kulturalnej Europa zachodnia. W naszych rękach jest możliwość stworzenia instytucji, która da przyszłej Polsce liczne kadry działaczy, odbudowujących jej kulturę w duchu zgodnym z tradycją stuleci. Rozproszymyż swe siły i teraz, jak dotąd bywało, na małostkowe utarczki i gierki?! I z przyczyn co najmniej drugorzędnych nie wykorzystamy ostatniego momentu wyrównania naszych zaniedbań?!

Trudno uwierzyć, by się tak stać mogło.

Walerian Kwiatkowski

ZE ZJAZDU KOMITETU NARODOWEGO

Amerykanów Polskiego Pochodzenia

(Depesza do Prezydenta R.P. W. Raczkiewicza)

New York, 16/XI 1946

Piąty Walny Zjazd KNAPP u powziął następującą rezolucję, którą ma zaszczyt przesłać Panu Prezydentowi:

Nigdy nie przestaniemy bronić legalności Rządu R.P. na emigracji i prawa do suwerennego sprawowania urzędu głowy państwa przez Prezydenta R.P. Dołożymy wszelkich sił w celu utrzymania sprawy polskiej na terenie międzynarodowym i dla naprawienia krzywd, jakich Polska doznała od wrogów i sprzymierzeńców.

Wierni jednak zasadzie mówienia prawdy, zarówno o obcych, jak i o swoich, nie możemy oprzeć się uczuciu troski o stan sprawy polskiej i chcemy dać trosce tej wyraz, zgodnie z naszym sumieniem.

Rząd Polski powinien mówić i działać za Kraj, który ni mówić, ani działać nie może. W działalności rządu nie przebija się jednak dostatecznie duch walki, prowadzonej przez Polskę, a siła wystąpień rządu wydaje nam się daleka od siły, okazywanej przez Kraj od początku wojny.

Główną przyczynę tego niedoboru energii widzimy w szkodliwej zasadzie klucza partyjnego, na której zbudowany jest rząd, powołany przez Pana Prezydenta.

Kompetencje, które nie mogą być zmienione ani zmniejszone przez presję swoich ani obcych i którymi obdarza Pana Prezydenta konstytucja polska, powołują Pana do decyzji najwyższego rządu w najdramatyczniejszej chwili dziejów Polski.

Życzymy Panu Prezydentowi sił do wykonania Jego historycznej misji i doprowadzenia nawy państwowej z wygnania do wolnej Ojczyzny. („Nowy Świat", numer z 20/XI 1946).

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

OZON

Sesja OZONU, zakończona w grudniu ub. r. w Nowym Jorku, przyniosła zwycięstwo Sowietom. Uchwalenie traktatów pokojowych dla państw bałkańskich zalegalizowało stan okupacji sowieckiej w Europie i formalnie oddało te państwa na łaskę i niełaskę Sowietów. Nieznaczne ustępstwa sowieckie w sprawie żeglugi na Dunaju i Triestu wzbudziły zadowolenie w opinii anglosaskiej, interpretującej je jako sukces Byrnesa i Bevina. W rzeczywistości jest to sukces sowiecki. Pomijając już kwestię realizacji postanowień traktatowych, pozostającą pod bardzo wielkim znakiem zapytania, bo zależną wyłącznie od dobrej woli Sowietów, należy wziąć pod uwagę fakt ratyfikacji samych traktatów. Jak wiadomo, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone nie uznają wyborów bułgarskich, ratyfikować jednak traktat dla Bułgarii będzie jej obecny rząd. Stosunki tych dwóch mocarstw z Jugosławią i Rumunią również nie są dobre. Ratyfikacja więc traktatów z państwami bałkańskimi przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię wzmocni obce rządy komunistyczne na Bałkanach. Gdyby nawet te mocarstwa wysunęły jakieś objekcje przeciw ratyfikacji traktatów przez rządy bałkańskie w ich dzisiejszym składzie, to zaraz Sowiety oskarżyłyby je o stawianie przeszkód na drodze budowania pokoju.

Wszystkie inne uchwały OZONU posiadają to samo znaczenie dla wyzwolenia Europy spod jarzma totalizmu sowieckiego i dla prawdziwego pokoju, jakie ma zatwierdzenie traktatów pokojowych.

Przyjęcie rezolucji rozbrojeniowej i skierowanie apelu do członków Rady Bezpieczeństwa o nienadużywanie prawa veta napewno nie przyczyni się do wzmocnienia pokoju i zmniejszenia niebezpieczeństwa sowieckiego.

Wezwania OZONU do członków, aby odwołali swych przedstawicieli dyplomatycznych z Madrytu, nikt nie może traktować na serio. Totalizm można zniszczyć, atakując go nie w Hiszpanii, lecz u źródła — w Sowietach. Hiszpański bowiem totalizm dla nikogo nie jest groźny. Przeciwnie — chroni od niebezpieczeństwa, które by powstało dla Wysp Brtyjskich, Francji i linij komunikacyjnych na Atlantyku, gdyby największy wróg Zachodu — czerwony totalizm — opanował Półwysep Iberyjski.

Uchwały o odrzuceniu prośby Unii Południowo-Afrykańskiej, w sprawie powiernictwa nad Afryką Zachodnią, nie mają dla pokoju żadnego znaczenia.

Dopuszczenie **World Federation of Labour** na wniosek sowiecki do Rady Gospodarczo-Społecznej stwarza precedens bardzo niebezpieczny, gdyż zezwala na głos w organizacji politycznej, jaką jest OZON, związkom zawodowym, posiadającym cele bardzo różne od politycznych.

Pierwsza sesja OZONU, zakończona w Nowym Jorku, świadczy przekonywująco, że organizacja ta, powołana do zabezpieczenia pokoju i wolności wszystkich narodów świata, jest jedynie bezsilnym forum międzynarodowym, na którym Sowiety popisują się, kiedy im wygodnie, „współpracą dla dobra pokoju", wygrywając dla siebie drogocenny czas, potrzebny im do wzmocnienia ich potencjału wojennego.

BARUCH-BYRNES-MARSHALL

Powody rezygnacji Barucha ze stanowiska przewodniczącego amerykańskiej delegacji atomowej do OZONU nie są znane do dzisiaj. Równie zagadkowe jest odejście Byrnesa, który podał się do dymisji w dzień po wyborze przez jeden z najlepszych tygodników politycznych — **Time** — na najwybitniejszego Amerykanina roku ubiegłego. Obydwaj ci politycy zajmowali wobec Sowietów stanowisko dosyć mocne, zwłaszcza Baruch, który stanowczo bronił swego planu kontroli atomowej, proponując inspekcję lotniczą oraz zniesienie prawa veta wielkiej piątki w wypadkach pogwałcenia umowy kontrolnej. Byrnes, który w ciągu roku 1946 przeszedł zmianę bardzo wielką, nie zrealizował niestety swoich politycznych możliwości. Doszedł do punktu, w którym po poznaniu dobrze metod i celów sowieckich zaczął usztywniać politykę amerykańską coraz zdecydowaniej. Oto linia politycznego rozwoju Byrnesa w ciągu ubiegłego roku:

styczeń — Byrnes nadal jest przekonany, że kontakt bezpośredni ze Stalinem zdoła doprowadzić do zharmonizowania polityki amerykańsko-sowieckiej;

kwiecień — przedkłada plan rozbrojenia Niemiec, odrzucony z miejsca przez Sowiety;

maj — stoi w opozycji do planu Mołotowa w sprawie Triestu;

sierpień — protestuje w Belgradzie przeciw zestrzeleniu samolotów amerykańskich stawiając 48-godzinne ultimatum;

wrzesień — decyduje się na unifikację Niemiec, bez względu na stanowisko sowieckie; wygłasza mowę w Sztutgarcie;

listopad — uzyskuje rezygnację Wallace'a po jego prosowieckim przemowieniu;

grudzień — przeprowadza w Radzie Czterech Ministrów swoje postulaty w sprawie traktatów pokojowych dla państw bałkań-

OŚWIADCZENIA

Do Pana Redaktora
miesięcznika „Na straży"

Od moich kolegów i znajomych w Wielkiej Brytanii dowiaduję się, że do odbiorców mies. „Na straży" rozesłano niedawno druk zawierający program b. Obozu Zjednoczenia Narodowego z komentarzami.

Oświadczam, że ani o redakcji, ani o treści, jak również o rozesłaniu tego druku nic nie wiedziałem i nie mam z nim nic wspólnego.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

23.I.1947

W. T. Drymmer

Wobec pogłosek, łączących moje nazwisko z broszurą, zawierającą program Obozu Zjednoczenia Narodowego, stwierdzam, że z wydawnictwem powyższym nie mam nic wspólnego.

Janusz Jędrzejewicz

skich, przedkłada Zgromadzeniu Ogólnemu rezolucję rozbrojeniową, która zostaje przyjęta; przez cały rok udziela nieograniczonego poparcia Baruchowi.

Reasumując politykę Byrnesa trzeba jednak stwierdzić, że mimo rosnącej opozycji wobec Sowietów, nie umiał on się zdobyć na własną inicjatywę, niezależną od sytuacyj stwarzanych przez Sowiety, nie wystąpił z żadnymi dalekowzrocznymi planami zniszczenia niebezpieczeństwa sowieckiego i nie wzmocnił polityki amerykańskiej ani w Chinach, ani w Ameryce Południowej.

Przeszłość polityczna nowego ministra spraw zagranicznych, b. szefa sztabu, gen. Marshalla nie jest żadną tajemnicą. To właśnie Marshall krzyżował strategiczne plany Churchilla w Europie, to on wykonywał posłusznie prosowieckie pociągnięcia Roosevelta i właśnie on brał decydujący udział w formowaniu polityki zmarłego prezydenta w Jałcie i Poczdamie. Być może Marshall się zmienił. Zobaczymy.

PERSJA

Z sytuacji, która wydawała się bez wyjścia, premier rządu perskiego — Gawam Saltane — wyszedł zwycięsko, ratując kraj od rozbioru między Anglię i Rosję. W chwili dla Persji dogodnej, kiedy Sowiety w OZONIE, kłamiąc o swoich dążeniach do trwałego pokoju i szczerej współpracy międzynarodowej, nie mogły pójść na żadną agresję, Saltane — w zamiarze okupacji całego kraju dla zabezpieczenia wolności wyborcom, dał rozkaz wojskom, i w ciągu trzech dni szeroko rozreklamowana „armia demokratyczna" Azerbejdżanu rozproszyła się. Piszerawi — główny agent Kremla — razem z 1000 milicjantów ludowych, podporą reżimu, uciekł do Rosji. W Tabryzie, Miane i innych miastach azerbejdżańskich ludność, wyzwolona z jarzma sowieckiego, urządziła natychmiast rzeź miejscowym „demokratom". Setki trupów zalegało unlice, konsulat sowiecki zażądał ochrony wojskowej. Krótki okres „postępowej demokracji robotniczo-ludowej" w Azerbejdżanie skończył się definitywnie.

Z tego, co się stało, wypływa niezbicie:

1) autonomiczny ruch azerbejdżański istniał jedynie dzięki poparciu Sowietów;

2) administracja agenta sowieckiego, Piszerawi, opierała się na terrorze, który wywołał naturalną reakcję, w chwili zaś odpowiedniej reakcja ta zwróciła się przeciw samym terrorystom;

3) Wielka Brytania i Stany Zjednoczone obłudnie nie nazywały „autonomicznego ruchu azerbejdżańskiego" po imieniu. Żaden polityk anglosaski nie nazwał nigdy partii Tude agenturą Moskwy. Upadek autonomii zdemaskował tę partię zupełnie i ujawnił metody sowieckie.

Te same metody stosują Sowiety w każdym, opanowanym przez siebie, państwie. Stosują je więc w Polsce i we wszystkich państwach Międzymorza. Stąd prosty wniosek, że w chwili wyzwolenia Europy z sowieckiej niewoli mit o rewolucji gospodarczo-społecznej i świadomej orientacii państw okupowanych w stronę Rosji zostałby od razu przekreślony. Losy Bieruta i Żymierskiego, Dymitrowa i Anny Pauker nie budziłyby żadnych wątpliwości. Europa wyzwolona, niszcząc znienawidzony komunizm, miałaby możność ukazać swe prawdziwe oblicze.

AMERYKA WZMACNIA IMPERIUM BRYTYJSKIE

Dopiero wiadomość o podpisaniu umowy naftowej między firmami brytyjskimi i amerykańskimi, dopuszczającej Amerykanów do nafty perskiej, rzuciła właściwe światło na akcję Saltane. Umowa ta jest dowodem, że Ameryka zdecydowała się poprzeć Anglię na Bliskim Wschodzie przeciw Sowietom, nie zważając, że korzyści są na razie mniejsze od zobowiązań. Krok Ameryki jest ryzykowny, gdyż za inwestycjami wielkiego kapitału w państwach Środkowego Wschodu wzrosną wpływy amerykańskie, których w odpowiedniej chwili trzeba będzie bronić nie tylko swoim prestiżem, ale i siłą. Turcja, Grecja i Persja odetchnęły teraz swobodniej. Indie zostały ubezpieczone z flanki zachodniej a Kanał Suezki od północy. Anglia może inaczej teraz podejść do zagadnienia Egiptu i Palestyny.

To decydujące pociągnięce Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie wiąże się ściśle z unifikacją sił zbrojnych angielskich i amerykańskich. Personel morski i lotniczy został już między obydwoma armiami wymieniony. Oficerowie amerykańscy będą studiowali w akademiach angielskich, angielscy w amerykańskich. Wielka Brytania zgodziła się na przyjęcie karabinu amerykańskiego jako broni podstawowej piechoty. Pod tym też kątem — unifikacji armij obydwu mocarstw — należy oceniać wizytę w Moskwie Montgomery'ego. Szef brytyjskiego sztabu imperialnego miał zapewne za zadanie uspokoić Rosjan i pewien odłam własnej opinii, że pakt wojskowy anglo-amerykański daleki jest jeszcze od realizacji, i zasugerować, że od stanowiska Sowietów zależy bardzo wiele. Ale trudno zapomnieć, że z nowych baz lotniczych Stanów Zjednoczonych na arabskim Wschodzie jest bardzo blisko do Moskwy i że wał obronny, jaki Ameryka na ten rejon rzuciła, chroni naftę, zaopatrującą Imperium Brytyjskie, jak również flotę amerykańską na Morzu Śródziemnym.

WYBORY W POLSCE

Wybory, zarządzone przez administrację warszawską na dzień 19 stycznia, mają rezultat z góry przesądzony. Z kolejnych not, przesyłanych do Warszawy i Moskwy przez Anglię i Amerykę, widać, że oba te państwa nie mają żadnych złudzeń, aby akt wyborczy był czymś innym, jak najbardziej skandalicznym nadużyciem przy pomocy najdzikszego terroru. Nie jest to zresztą żadną niespodzianką dla nikogo, chyba jedynie dla Mikołajczyka, który, do reszty zaplątany w anglo-sowieckie sieci, znalazł się w sytuacji, z której nie ma żadnego wyjścia. Jest dziś politycznym i moralnym bankrutem. Jest ponadto dla nas zdrajcą, jednym z najszkodliwszych w dziejach naszych — i tego mu Polska nigdy nie zapomni.

J.Z.K.

Wydawca: Związek Pracy dla Państwa, Jerozolima, „Casa Nova" nr 80 — Drukarnia Hamadpis Liphshitz Press, Jerusalem